Nr. 32. Poznań, Niedziela, dnia 10-go Sierpnia 1902 r. Rok VI



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Pruskie święta.

Ćwierć miliarda rzucono dla przecięcia więzów wiekowych łączących nas z ukochaną polską skibą naszą, a na tej samej ziemi przedstawiciele zachłannego systemu urządzają wielkie festyn, wielkie pruskie święta. A my, my się pytaliśmy, namyślaliśmy się jeszcze, jak się zachować?

Namyślaliśmy się, gdy poczucie narodowe powoływało nas na jedną jedynie możliwą drogę! Był to — przyznajmy ze wstydem — smutny objaw, dowód pewnej niedojrzałości narodowej.

A przyznawszy to, cieszmy się, że dzisiaj już to poczucie narodowe zwyciężyło.

Bo z jednego koła wreszcie padła odpowiedź. „Nie pójdziemy!“ orzekli przedstawiciele Księstwa. Mówimy „wreszcie“ — bo czas był wielki, bo wielkie były obawy, bo tu i owdzie zwątpiono już, czy odnośni panowie pozostaną w zgodzie z sumieniem narodowem, bo tu i owdzie głoszono, iż niechybnie kilku obywateli polskich, piastujących wysokie honorowe urzędy, a zaproszonych (lub też prawdopodobnie mających być zaproszonymi) na jakiś obiad, lub wieczerzę, lub też inne uroczyste jedzenie w czasie pruskich świąt w Poznaniu głęboko się namyśla, czy „być czy nie być“, czy jeść lub nie jeść, czy iść lub nie iść. Niektórzy z nich podobno uczestniczenie swoje uważali za konieczne i dawali sobie *wyjątkową* absolucyę. Obawiali się — jak mówią — tego, by usunięcie się ich od wypełnienia honorowej czynności nie spowodowało na przyszłość zupełnego odsunięcia Polaków od odnośnych honorowych urzędów, obawiali się tego, przynajmniej tak mówili, i z tego powodu namyślali się, czy nie byłoby „dyplomatyczniej“ przyjąć udziału. I ot znowu nasz stary błąd. Zawsze mylimy pasztety, majonezy i kieliszek z dyplomacyą, wyższą „dyplomacyą“, z polityką, wyższą polityką. Lecz dość już tych śmieszności! Uczmy się historyi! mości panowie! Cóż wy dodatniego robicie dla narodu siedząc na owych honorowych fotelach? Cóż dodatniego wogóle łączy się z tymiż honorowymi materacami?

Wierzajcie! Jeżeli w życiu swoim zrobiliście cośkolwiek dobrego dla społeczeństwa polskiego, to stało się to *nie za pomocą* owych urzędów honorowych, lecz *mimo* nich. Gdybyście ich nie piastowali, może dla społeczeństwa czynilibyście więcej. Urzędy takie tylko krępują, prowadzą do chwiejności, jak w niniejszym wypadku, w miejsce śmiałości zdania stawiają obłudę, podnoszą wartość salonowych grzeczności, a depcą godność narodową. Urzędy takie nic nam nie pomagają, a często szkodzić mogą. A więc nie osłaniać się nimi! Postępowanie takie stare, błędne i śmieszne.

Nie sądzimy, aby uwagi te były zbyteczne i spóźnione. Sejm prowincyalny i polscy radni miasta Poznania uczynili już wprawdzie co godność narodowa nakazywała, ale może inne koła, może kiedyindziej w przyszłości staniemy znowu wobec podobnych wątpliwości. Wtedy wiedzmy, że skończyło się z dyplomacyą, że dzisiaj jedno państwo dyplomacyi drugiemu nie wierzy, że w państwie jedno stronnictwo nie wierzy drugiemu, bo każde państwo, bo każde stronnictwo wie z własnego doświadczenia, że dyplomacya wszelaka — to ocukrzone kłamstwo i obłuda. Wiedzmy, że siłę mieć trzeba, że cel mieć trzeba niezmienny, jeden cel jedyny, z którego oka nigdy spuścić nie wolno; nigdy nie wolno nam zerkać na obce błyskotki, nie wolno nam nigdy pozwolić się wyprowadzić z równowagi i najpotężniejszym hejnałom wygrywanym obcym przez obcych. Skończyły się czasy próbowania, stąpania po omacku, dziś wreszcie silnym być trzeba i jedną mieć drogę i cel mieć jedyny.

I już nie kokietować! Przecież mieliśmy dosyć już sposobności, by się przekonać, że ordery wszelakie, że uśmieszki najwyższych, że progi cesarskie i królewskie — to zabawki dla społeczeństw zdziecinniałych, ale nie strawa dla narodu kroczącego do przyszłości.

— Przedstawiciele Księstwa orzekli: nie pójdziemy.

A Księstwo, a lud? I lud nie pójdzie, ten lud co czuje, co myśli, co pragnie, bo ten lud już wtedy odczuł swój obowiązek, gdy przedstawiciele jego się jeszcze „namyślali.“ Lud nie pójdzie!

Niemiec pewien opierając się na uwadze „Wielkopolanina“, że ludność cofnie się „nawet z ulicy“ mówił do mnie z uśmiechem: Ależ, panie, lud ciekawy, tłum ciekawy! Panie, król, cesarz — toć to dla tłumu zjawisko zaziemskie, to objawienie. Lud tłoczyć i bić się będzie z ciekawości!

Nic nie odpowiedziałem. Ale czułem, że się myli, sądząc, iż niepodobna, by w mojem sercu mogła panować taka lodowa obojętność wobec świąt pruskich, a w sercu ludu, tego ludu polskiego, co cierpi tyle, wiatr sobie harcował, by ciekawość uliczników zmogła w nim narodowe sumienie.

To *polski* lud — a to święta *pruskie!*

Mówimy o „pruskich świętach.“ — Okoliczność, że głównym ich powodem będzie przybycie *niemieckiego* cesarza — przedewszystkiem w charakterze naczelnika wojsk *niemieckich* — w naszych oczach ginie zupełnie i nie zmienia niczego. Dla nas będą to *pruskie* święta.

Bo my cierpim pod pruskim naporem, bo rząd pruski nas upośledza, bo pruscy wrogowie nasi we wrogiem usposobieniu wrześniowe festyny przygotowują, bo hakatyzm cieszy się na nie jak na antypolskie igrzyska. Więc nie widzim *osób* jako takich, tylko widzim tę rękę rządu pruskiego, która codzień — w dni powszednie — z coraz silniejszym rozmachem wali o piersi nasze, która już dzieci naszych nie oszczędza, by zapomniały o Matce swojej, a która w czasie balu wrześniowego odświętne, solenne i wesołe chce wygrywać melodye, by urągać bólowi i smutkowi naszemu. We wrześniu system pruski i polakożerczy duch bal wyprawia w Poznaniu!

W naszych oczach przynajmniej.

Tak myślimy, tak czujemy, a — jak już powiedzieliśmy — przyjazd cesarza niemieckiego, jego obecność niczego w tem nie zmienia.

Zresztą ten sam cesarz niemiecki, a król pruski chyba nie spodziewa się miłości lub choćby życzliwości od ludu polskiego, jeżeli to, co dla nas jest *najświętszem,* nazwał „bezczelnem“, jeżeli to, co nam się bezwzględnie należy, nazwał „uroszczeniem“, jeżeli naród swój wzywał do walki przeciw narodowości naszej, która dzisiaj właśnie droższą nam jest nad wszystko, nad życie.

Jako Polakom nie wolno nam pokazać się na pruskich świętach. Nie pójdziemy na obiady, nie pójdziemy na uroczyste posiedzenia, — ale nie wyjdziemy i na ulice. W sercach naszych ból głęboki.

Jeżeliby więc i twarze smutne były, a tylko ciekawość pchała nas między tłumy, słusznie bylibyśmy wrogom pośmiewiskiem. — Jeżeli zaś oblicza nasze pod wrażeniem pruskiej wesołości rozweseliłyby się także i usta ułożyły się do wesołego okrzyku, jeżelibyśmy zapomnieli o wszystkiem, co było — wówczas słusznie nazwanoby nas nikczemnikami.

Strzeżmy się tego!

I dla tego nie wyjdziemy między tłumy i dla tego zostaniemy w domu, w kole rodzinnem. Gdy po ulicach Prusacy weselić się będą, my w domu rozmyślajmy o przeszłości naszej i przysięgę złóżmy na przyszłość, my w domu odprawmy nabożeństwo narodowe. Weźmy dzieci na łono i uczmy je, uczmy! Pracujmy w pruskie święta dla narodu swego.

Tylko w ten sposób możemy uniknąć poniżenia.

Strzeżmy się, by w dni sedańskie nasz honor narodowy nie dożył moralnego Sedanu! Strzeżmy się nikczemności!

Wszakże wiemy i to pociechą naszą, że:

„Upaść może naród wielki
Zginąć tylko nikczemny!“

Ordon.

Nie trwożcie się!

Wobec zagadkowej sprawy szambelana Morawskiego prasa niemiecka zachowywała się względnie obojętnie; nagle jedno z pism poznańskich zamieściło doniesienie czy przypuszczenie, że celem zabiegów pana szambelana było... nakłonienie cesarza do odłożenia swej podróży do Poznania na rok przyszły. I rzecz dziwna, właśnie ta wiadomość formalnie zelektryzowała prasę niemiecką. Powtórzyły ją wszystkie niemal pisma niemieckie, kilka z nich zaś opatrzyło ją uzupełnieniem lub komentarzem, którego bez odpowiedzi pozostawić nie można.

Otóż pisma te twierdzą, że nietylko pan szambelan Morawski o to się starał, lecz że podobne życzenia odzywały się już częściej z jakichś tam „kół narodowych“, motywem ich miała zaś być obawa o bezpieczeństwo osoby monarszej wobec „roznamiętnienia“ „sfanatyzowanej“ przez „agitatorów“ ludności polskiej. Jak inaczej przy tem być nie mogło, przedstawiły rzeczone pisma niemieckie to rzekome roznamiętnienie Polaków w najczarniejszych kolorach.

Zkąd owo pismo polskie zaczerpnęło tę ciekawą informacyą, nie wiemy, nie będziemy też roztrząsali *dziwnej skwapliwości*, z jaką pochwyciła wieść tę prasa niemiecka — jakkolwiek rozmaite nasuwa ona myśli. Co do nas, to absolutnie *nie wierzymy*, iżby z jakiejkolwiek *polskiej* strony mogło było wyjść tego rodzaju *ostrzeżenie.* Byłoby to bowiem — nie mniej nie więcej, tylko rzuceniem *niegodziwego podejrzenia i oszczerstwa na ludność polską, skalaniem własnego gniazda.* A do tego zapewne i pan szambelan Morawski nie byłby zdolnym. Jeżli wogóle starał się o odroczenie podróży cesarskiej, to zapewne innemi zupełnie kierował się powodami; może sądził, że za rok stosunki u nas tak się ułożą, iż pewne tak zwane „ugodowe“ koła społeczeństwa polskiego będą mogły wziąść udział w przyjęciach. Wprawdzie i takie przypuszczenie byłoby szczytem naiwności, aleć — są ludzie, którzy wady tej do śmierci pozbyć się nie mogą.

Bądź co bądź — stwierdzamy, że to doniesienie pewnego pisma poznańskiego pojawiło się dla prasy niemieckiej jakby . . . na *zawołanie* i że dało jej powód do miotania nowych kalumnii na społeczeństwo polskie....

Jeżli zaś w kołach niemieckich wywołało rzeczywiście pewną obawę o bezpieczeństwo monarchy w grodzie Przemysława, to uważamy za nasz obowiązek zawołać głośno do kół tych: *Nie trwożcie się!*

Nie da się zaprzeczyć, że ludność polska jest podrażnioną, nawet bardzo podrażnioną, wprawdzie nie podszczuwaniem rzekomych polskich agitatorów, lecz ciągłem prześladowaniem, owem nieznośnem kłóciem szpilkami i wszelkiemi innemi „dobrodziejstwami“ rządu i hakaty. Mimo to niema między nami ani jednostki, któraby skłonna była do jakiegokolwiek *gwałtownego* odwetu. W społeczeństwie, wśród którego Wintrom, Koralewskim i wszelkim innym podobnym kulturtraegerom jeszcze ani włos z głowy nie spadł, nie znajdzie się też nikt ktoby śmiał rękę podnieść na osobę monarchy.

W narodzie polskim wogóle nigdy nie było królobójców, a daj Boże, nigdy ich też nie będzie.

Naród, który opiera cały swój byt na *ufności w sprawiedliwość Bożą — brzydzi się tego radzaju zbrodniami.*

Ręczymy wam też za to, że monarcha bezpieczniejszym będzie w Poznaniu, niż nawet w Berlinie lub w jakiemkolwiek innem mieście niemieckiem — chyba że znajdzie się jaki zbrodniarz wśród tych, których polityka pruska zamieniła na Niemców, oderwała od pnia polskiego, pozbawiła wiary, cnoty i ideałów narodowych, wówczas odpowiedzialność za zamach nie spadłaby atoli na społeczeństwo polskie, lecz na was, panowie germanizatorzy, wszelkiego rodzaju.

Polacy są narodem zbyt szlachetnym, a i dzięki ciężkim doświadczeniom swoim już zbyt *mądrym*, iżby w jakikolwiek sposób porywać się mieli na osobę monarchy. Takie czyny *pozostawiamy wam, panowie Niemcy,* waszym Hödlom i Nobilingom.

Z oburzeniem więc odpieramy to nowe wasze oszczerstwo. Dowodzi ono tylko, że teraz sami w sumieniu waszem uczuwacie *trwogę* przed skutkami antypolskiej polityki. Nie bójcie się! Bronić się będziemy do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchnienia, ale na drodze *legalnej*, nigdy zaś nie *zbrodniami*. Nie trwóżcie się więc!

Swoją drogą — baczność rodacy! kto wie bowiem, czy nie zjawią się u nas *agenci prowokacyjni*. Nie dajcie się chwytać na słówka, trzymajcie język za zębami a zwłaszcza wobec ludzi obcych, nieznanych, chociażby po polsku mówiących.. Mądremu dość na słowie...

Czujny.

Zmycie głowy miasta.

Już przed kilku tygodniami wypadło nam z tytułu przykrej powinności, zająć się nieco osobą pierwszego rządzcy w grodzie naszym, p. Wittinga. Zmusił nas do tego znaną swą, antypolską mową wygłoszoną w Izbie Panów d. 12-go czerwca r. b. W mowie tej, jak wiadomo p. Witting wypowiedział rozmaitości niezgodne z prawdą. I tak twierdził, 1) że trzy czwarte czy nawet więcej wszelkich dochodów z kas szkólnych i dla ubóztwa spływa na ludność polską, podczas gdy ludność ta najwyżej jednę czwartą wszystkich podatków ponosi; 2) że z legatów i ofiar prywatnej dobroczynności $^7/_8$ otrzymują (Polacy; 3) że w ciągu 11-tu lat jego burmistrzostwa Polacy ani srebrnika nie dali na cele ogólne i 4) że Polacy nie mają najmniejszej słuszności do skargi na upośledzenie, a gdyby Niemcy zaprzestali swych ofiar i zapomóg różnego rodzaju, wtedyby dopiero był może do skarg pewien powód.

Oto główna treść twierdzeń p. Wittinga wygłoszonych w Izbie Panów na to, ażeby polską ludność miasta Poznania zlekceważyć, a sobie przyczynić zasług w zakresie antypolskiej polityki.

Przedstawiciele mieszkańców Poznania narodowości polskiej nie mogli naturalnie pozostawić bez odpowiedzi wywodów nadburmistrzowskich.

Na najbliższem posiedzeniu rady miejskiej więc, d. 25-go czerwca, radny mecenas Trampczyński poprosił o głos, ażeby mowę p. Wittinga przetrząsnąć i należycie w szczegółach objaśnić. Lecz w tejże chwili oświadczył obecny na posiedzeniu nadburmistrz przewodniczącemu, p. Herzbergowi, że natychmiast opuści salę obrad, gdyby wywody jego, wygłoszone w Izbie Panów, stać się miały przedmiotem krytyki na posiedzeniu Rady miejskiej.

Pan Witting wziął się tak, jak — nieprzymierzając — Polykrates na swojem Samos. Postraszenie Rady natychmiastowem opuszczeniem sali było dziwnym objawem nieuzasadnionej, despotycznej pretensyonalności i zarozumiałości, równie mało uzasadnionej. Skoro bowiem p. Witting, współobradujący w Izbie Panów właśnie tylko jako nadburmistrz miasta Poznania, nad polską ludnością tegoż miasta ujemnie rozwodzić się uznał za stósowne, to równie za stósowną uznać musi krytykę wywodów swoich w Radzie miejskiej z ust tych, którzy ludność polską w pierwszym rzędzie reprezentują, a przed niewłaściwemi zaczepkami bronić mają prawo i obowiązek. Nikt nie upoważnił p. Wittinga, ażeby jako prezydent miasta Poznania, jako pierwszy burmistrz porówno polskich jak niemieckich mieszkańców, popisywał się w Berlinie retoryką lekceważącą Polaków, a jeśli okazał taką — odwagę w Berlinie, natenczas musi jej mieć i w Poznaniu tyle, ażeby wysłuchać cierpliwie, że postąpił sobie niesłusznie, niesprawiedliwie i — nieładnie, że postąpił sobie z iście — semicką pretensyonalnością...

Zaniechawszy na razie interpelacyi polscy radni miasta ogłosili w tych dniach na mowę p. Wittinga odpowiedź, którą nazwaliśmy w tytule zmyciem głowy miasta.

W formie delikatnej, może za nadto delikatnej na współczesne gruboskórstwo, wyświetlają nasi radni, że słabsza siła podatkowa Polaków tłomaczy się jedynie niepomyślnemi i krzywdzącemi ich stosunkami zarobkowemi. Jeżeli więc p. nadburmistrz ma słuszność, twierdząc, iż Polacy tylko jednę czwartą część podatków płacą, a ktoś z niemieckiej strony im to wymawia i za to urąga, w takim razie zdradza bardzo poziome i wstrętne instynkty oraz brak poczucia, już nie tylko delikatności, której nie od każdego spodziewać się można lecz jednocześnie zwykłej sprawiedliwości, jaką każdy burmistrz wobec wszystkich mieszkańców porówno mieć powinien.

W dalszym ciągu radni polscy pouczają p. Wittinga, z powodu jego nieszlachetnych wymówek skierowanych do polskiego ubóstwa w Poznaniu, że „nowoczesna kultura widzi w ubogim, potrzebującym wsparcia, tylko bliźniego człowieka i prawo samo uznaje biedaka za biernego politycznie“, niestosownem jest przeto w wysokim stopniu wciągać ubóstwo w zakres politycznej szermierki. Tym bardziej zaś i dobitniej potępić to trzeba, że miasto Poznań przecież ani nie czyni czegośkolwiek dla polskich ubogich dla tego, że są Polakami, ani też nie czyni więcej, niż przepisy prawne żądają, ani też więcej niż inne miasta w odpowiednich stosunkach będące.

Słuszną tę argumentacyą radnych polskich warto dopełnić jeszcze następującą uwagę.

Przymawianie ubóstwu jakiejbądź narodowości bywa zawsze pojmowanem jako objaw bardzo poziomego charakteru, a potępianem, jako niechrześcijańskie. Nie chcielibyśmy grzeszyć taką sama

pretensyonalnością jak p. nadburmistrz, a dla tego w skromności swej polsko- chrześcijańskiej nie uraszczamy pretensyi, ażeby tak świeżej daty „chrześcijanin", jak p. Witting, był na wskroś i w głębi swej duszy (takiej czy owakiej) przejęty chrześcijańskiemi zasadami i prawdami; ale tego przynajmniej żądać mamy prawo, ażeby stojąc na czele municypalności tak przeważnie chrześcijańskiego miasta, jak Poznań, udawał przynajmniej, że kardynalna chrześcijańska prawda o *miłości bliźniego* nie jest jego poczuciu obcą. Ta prawda zaś wykluczać powinna wszelkie żydowsko-hakatystyczne zapały, gdy chodzi o miejskie ubóstwo. Przykro naturalnie, że polscy chrześcijanie „bliźniemu" p. Wittingowi przypominać muszą tak ważną prawdę; ale dlaczego przynajmniej w kwestyi głównych zasad chrześcijaństwa niema być pomiędzy nami a niem porozumienia, skoro już jest *także chrześcijaninem* (po niemiecku *auch Christ*).

Równie trafną odprawę dają w swej odpowiedzi radni polscy w sprawie owych dobroczynności spływających na ludność polską z kas szkolnych. Polacy — tak brzmi odnośny ustęp — bronili się przecież wszelkiemi siłami przeciwko zaprowadzeniu szkół symultannych, a woleliby przy większych własnych ciężarach szkoły katolickie i nie giermanizatorskie dla swych dzieci. Cynizmem jest przeto prawić w kwestyi szkolnej o jakichś dobrodziejstwach dla ludności polskiej.

Świetnem, a ciekawemi cyframi popartem jest w polskiej odpowiedzi wyświetlenie argumentu p. Wittinga, że Polacy nie mają powodu uskarżać się na upośledzenie: Pomijanie Polaków w zakresie urzędów i prac miejskich jest po prostu w oczy bijącem. I tak:

z 15 płatnych członków magistratu, włącznie urzędników technicznych, *ani jeden* nie jest *Polakiem,* pomiędzy 53 sekretarzami jest *jeden jedyny*, pomiędzy 19 średnimi i technicznymi urzędnikami jest tylko *jeden* Polak, pomiędzy 62 asystentami i urzędnikami służby zewnętrznej jest tylko *4 Polaków.*

Tak samo nie ma pomiędzy 16 rektorami szkół miejskich *ani jednego Polaka*, pomiędzy 342 miejskimi nauczycielami jest tylko *54 Polaków.*

Z *1,539,420,37* marek pensyi, płaconych całkiem przez miasto urzędnikom i nauczycielom, otrzymują Polacy tylko *199,100,33* mk.

A jak ma się sprawa z miejskiemi dostawami? Kilka przykładów wystarczy.

W projekcie o budowie szkoły maszyn przesłanym niedawno temu radnym prócz komunalnych przedsiębiorców wyliczono *18 firm*, które otrzymały dostawy dla tymczasowej szkoły budowy maszyn. Pomiędzy niemi nie ma ani *jednej polskiej firmy.*

Roboty mularskie, ciesielskie, stolarskie, malarskie, kowalskie, dekarskie i szklarskie, dalej dostawy materyałów żelaznych, cementu, materyałów budowlanych potrzebnych do utrzymania budynków miejskich w roku obrachunkowym 1903 oddano *12 firmom,* pomiędzy niemi niema *ani jednej polskiej.*

Jeszcze świetniej przedstawia się owo równouprawnienie, gdy się zważy, iż miasto daje rocznie ogromne sumy na różne cele niemieckie, jak n. p. na sam *teatr niemiecki 32.000 mrk.*, a na polskie instytucye, zebrania, uroczystości i t. p., oprócz marnych 200 marek zapomogi dla muzeum imienia Mielżyńskich, nie znajduje ani szeląga.

Tak wygląda twierdzenie głowy miasta Poznania, że ludność polska niesłusznie się żali na upośledzenie!

Ale najparadniej zasypał się p. Witting nieprawdą, jakby ofiarność w Poznaniu była tylko niemiecką, z polskiej zaś dobroczynności nie było ani „srebrnika na cele ogólnego pożytku." Wobec tak rażącej nieprawdy nie omieszkali radni polscy przypomnieć głowie miasta, że w sprawozdaniu administracyjnem za rok 1901 zaznaczono sumę 153,472 mrk. polskich legatów przekazanych miastu na własność, że nadto istnieją w Poznaniu tak świetnie o ofiarności polskiej świadczące instytucye, jak Bibloteka Raczyńskich i zakład Garczyńskiego, że wreszcie w składkach urządzanych corocznie przez magistrat polscy radni i obywatele, piastujący honorowe urzędy, porówno z Niemcami biorą udział. A co najniesłuszniejsze, to że czysto polskie fundacye bywają z widocznem upośledzeniem Polaków użytkowane, że n. p. w *Zakładzie Garczyńskiego*, nietylko zupełnie niemiecką zaprowadzono administracyą, lecz nadto obecnie jeszcze tylko *24 Polaków i Polek* znajduje pomieszczenie, a *Niemców i Niemek 46!*

To chyba najjaskrawszy przykład równouprawnienia. Polak poświęca majątek na zakład dobroczynny, a niemiecka gospodarka „z wdzięczności" wymiata wszystko, co polskie z zarządu, a na domiar lokuje „dobroczynnie" dwa razy tyle niemieczczyzny, co Polaków i Polek, wbrew duchowi wspaniałomyślnego fundatora!

I oto na domiar jeszcze pozwala sobie p. Witting na lekceważący cynizm w Izbie Panów i bierze się tak jakby tylko był prezydentem miasta Poznania dla Niemców, a nad Polakami mógł sobie dowoli burmistrzować. Jest to arogancya iście — semicka, którą parlamentarnemi słowy trudno należycie napiętnować.

Niech tam p. Witting ma sobie aspiracye karyerowe, jakie chce, ale dopóki jest burmistrzem w Poznaniu, niech wie, że powinien być urzędnikiem dla mieszkańców obu narodowości i wszelkich wyznań porówno. Dla jego burmistrzowskiej fantazyi nie zaniechamy słusznych swych skarg i protestów przeciwko dziejącym się krzywdom. Niech też nie sądzi, że polska narodowość tak łatwo się zmieni, jak w pana-burmistrzowskiej rodzinie zmieniało się nazwisko i wyznanie. Łatwiej z Wittkowskiego stać się Wittingiem, niźli z Polaka Niemcem - Prusakiem protestanckiego czy też żydowskiego typu...

Narodowiec.

Łajdacka protekcya.

Gdyby Niemcy pragnęli szczerze dążyć drogą prawdy i mściwości, gdyby myślą ich przewodnią było udoskonalenie duchowe i moralne we własnym kraju, natenczas mieliby u siebie samych tyle do czynienia, że błędami, niedostatkami i wadami zagranicznemi zajmować się nie mieliby czasu. Kroniki codzienne w Niemczech przepełnione są zbrodniami, liczne skandale świadczą o znieprawieniu obyczajów, a niezliczone prawie procesy z powodu niesumiennych, złodziejskich i zbrodniczych machinacyi w wielu pierwszorzędnych bankach gospodarkę niemiecką uczyniły już prawie przysłowiową. Gdy się to wszystko zważy, trudno nie być

zdania, że Niemcy pilnej roboty celem wydobycia się z trudów i oczyszczenia opinii swej przed światem mieliby dosyć. A tymczasem cóż się dzieje? Zamiast skromności widać pychę, zamiast skruchy i troski o naprawę złego u siebie ukazuje się bezczelna samochwała i nadyma się bezwstydnie, zamiast głosów napomnienia dla własnych ziomków słychać wrzaski potwarzy i oszczerstw miotanych na obcych z prawdziwie teutońską wściekłością.

Szczególną naturalnie rozkosz znajdują Niemcy w tem, ażeby zohydzać Polaków. Tem się też tłomaczy skwapliwość, z jaką polakożercze pisma rozwodzą się nad wielkim strejkiem rolnym w Galicyi, nadając smutnym rozruchom, jakie nawiedziły tę dzielnicę naszej Ojczyzny, iście pruski koloryt.

Treścią niegodziwych, z szatańską radością fabrykowanych wywodów gazet pruskich jest to, że 1) Polacy strasznie uciskają Rusinów, gnębiąc ich i uciskając brutalnie pod względem narodowym, 2) Rusini wyzyskiwani przez Polaków w niebywały do nieba o pomstę wołający sposób, wyzuci z ziemi, pozbawieni chleba i zupełnie zrozumiałą rozpaczą porwani, bronią swych słusznych praw w formie strejku i 3) że rozruchy te stanowią żywy obraz kulturny, ilustrujący polską gospodarkę.

Ile argumentacyi tyle niegodziwości w objaśnianiu rozruchów galicyjskich w antypolskiej prasie niemieckiej.

Wierutnem kłamstwem jest twierdzenie, jakoby narodowość rusińska jakiegokolwiek doznawała ucisku. W prasie, na zebraniach, przy wszelkich uroczystościach panuje nieograniczona wolność; język i piśmiennictwo rosyjskie rozwija się zupełnie swobodnie; języka ani też wiary nikt Rusinom nie odbiera; na wydziedziczenie ich, wyzucie z ziemi żadne milionowe fundusze nie płyną. Kto więc takie niegodziwości wymyśla i podsuwa Polakom w Galicyi, sam chyba jest skończonym łajdakiem.

Również nikczemnemi są wywody o wyzyskiwaniu Rusinów przez szlachtę polską. Że w Galicyi jest bieda i nędza, to powszechnie wiadomo. Atoli badając przyczyny złego, należy przedewszystkiem napiętnować nikczemną, łotrowską gospodarkę *Niemców austryackich* w kraju tym, która jego rozwój o długie lat dziesiątki wstecz cofnęła. Zapominać też nie trzeba, że i dziś jeszcze ekonomiczne usiłowania w Galicyi w znacznej części idą na marne z powodu przywilejów nadanych przez Niemców na jej niekorzyść i niedolę innym krajom korony Habsburgów. Niemcy więc i tam są głównymi sprawcami niedostatku, Niemcy w niemałej części sprawili, że jak wogóle stan ekonomiczny, tak też i zarobki robotników są liche, a ztąd niezadowolenie i strejki.

Taka „Posener Ztg.“ naturalnie nie miała nic śpieszniejszego, jak nawet to nieszczęście, jakie nawiedziło Galicyą w postaci ogromnego strejku rolnego, zużyć do zohydzających polskość napaści. Pod tytułem „Obraz kulturny z Półazyi.“ (Ein Kulturbild aus Halbasien) łże we wstępnym artykule z właściwym sobie bezwstydem o rzekomym ucisku Rusinów pod rządami polskiemi w Galicyi, bierze niby to z politowaniem i czułością w obronę „srodze nękany“ przez Polaków lud rusiński, rozpisuje się z tendencyjną, łajdacką jednostronnością o „wyzysku“ robotnika we wschodniej Galicyi i z całą bezczelnością kończy swoje niegodziwe wywody argumentem, iż „polscy chłopi powinni na klęczkach dziękować Panu Bogu“ za wielkie szczęście i dobrodziejstwa w Prusiech.

Na tyle łotrostwa w jednostronnem malowaniu stosunków galicyjskich, w komponowaniu kłamstw i oszczerstw, a nakoniec w bezczelnem urąganiu i szyderstwie o dobrodziejstwach w Prusiech — zdomódz się mogą tylko piśmidła kategoryi coraz obrzydliwszego hakatystycznego dziennika.

„Posenerka“ chce rozwijać przed oczami naiwnych czytelników swoich obraz kultury półazyjatyckiej, ta sama „Posenerka“, co wszelkim krzywdom antypolskim, wydziedziczeniu, zubożeniu i wygłodzeniu Polaków z szatańską radością przyklaskuje, co pochwala każdą antypolską brutalność, co sama rozkoszuje we własnym kale nieludzkich, niechrześcijańskich, gorzej niż azjatyckich żądz krzywdzenia, prześladowania i gnębienia słabszych.

Niechby „Posenerka“ okiem choć trochę uczciwem patrzała na nasze stosunki, to nie potrzebowała by się fatygować do Galicyi po obrazy azjatyckiej treści. Kulturę zaś niech rozpocznie od siebie, wydobywając się wreszcie z brudu i paskudu, którym zanieczyszcza opinią niemiecką i powietrze w naszej dzielnicy.

Prawdzic.

„Polnische Wirthschaft“.

Przydomek powyższy pojawia się często na szpaltach pism niemieckich, zwykle używany jako sól i pieprz dla czytającej publiczności niemieckiej, która nie znając się na rewelacyach pismaków o płytkim rozumie i charakterze gadzinowym, bierze podawane oszczerstwa za dobrą monetę, a pismak ze swoim organem tryumfuje najbezczelniej, że mu się udało znowu poszczuć swoich czytelników na Polaków.

Tym razem pojawił się artykuł w *„Schlesische Zeitung“* pod tytułem: *Polnische Wirthschaft in Westpreussen.* Autor z patentowanego idjotyzmu i usprawiedliwionego tchórzostwa, podpisał się tylko literami *„st.“* Zajęcza skórka i skromność tego rodzaju jest dla nas całkiem zrozumiałą, tymbardziej, że konserwatywny organ Ślązka wraz ze swoim ukrytym autorem, odkrywa rzeczy tysiąc razy omawiane, zaopatrując je sosem junkiersko-pruskim, by już częstokroć podjudzanego czytelnika zaprawić do nadzwierzęcej wścieklizny, a mniej wytresowanych w nagance na Polaków, obudzić do większej czujności na rzekomych „ostmarkach“ vaterlandu.

Gdyby podobne niedorzeczności pojawiły się w jakim prowincyonalnym „Kreisblacie“, natenczas przeszedłbym całkiem do porządku dziennego i nie szpeciłbym łamów „Pracy“ głupstwami tego rodzaju. Lecz mając przed sobą najpoważniejsze pismo Ślązka, organ półurzędowy, z którego zarządzcy prowincyonalni, ministeryum berlińskie, a

nawet i posłowie parlamentu, izby panów i sejmu, czerpią „wiarogodne“ wiadomości o przeszłości naszego narodu, o jego historyi i obecnem życiu, — rzeczy takich milczeniem absolutnie zbyć nie można.

I cóż więc pisze *„Schlesische Zeitung?...“*

Pisze: że Polska upadła z powodu marnej gospodarki. Powstania polskie nie udały się, ponieważ lud nie brał w nich udziału, a teraz zachodzi „wielka“ obawa z powodu, że Niemcy wytworzyli w zaborze pruskim stan średni polski, który ich na polu ekonomicznem zwalcza i krzewi uczucia narodowe między ludem. Zaprawiwszy taką śledziówką artykuł swój, autor wytacza działo „strasznej“ zbrodni toruńskiej, podczas której w roku 1724 zginęło 14 Niemców. W ślad za tem idzie „wzorowa“ gospodarka Fryderyka, a następnie „historyczny“ dokument nauczyciela Krügera, który wówczas przeznaczony został na nauczyciela w Prusach Zachodnich i ponieważ brakło mu pieniędzy na studja, przeto przeniósł się nad Wisłę, opisując ziemię w dorzeczu tejże.— Nie myślę podawać szczegółów, pisanych przez nauczyciela z czasów ówczesnych, a szczególniej przez nauczyciela niemieckiego, spełniającego w tych czasach rolę szewca, krawca, stróża i innych urzędów, dających „kwalifikacye“ na krytyka stosunków społecznych. Wspomnę tu tylko dla informacyi łaskawego czytelnika, że Krüger pisze o słomianych dachach, domach z łat i gliny, podłogach kamiennych czy ziemnych i naturalnie o nadmiernem używaniu wódki przez nasz naród i znacznej uprawie ziemniaków, zaprowadzonej przez Niemców, ale tych ziemniaków, *z których powstały gorzelnie, wytwarzające okowitę....*

Wódka co innego, a okowita całkiem znów co innego!... Produkt ogromnie kulturalny — wedle *„Schlesische Zeitung“*, zwłaszcza, gdy wrocławska koleżanka musi występować w obronie śląskich właścicieli ziemskich, żyjących przeważnie z gorzelnictwa i wyrobu okowity. — Tak, tak chamie — to całkiem co innego!

Na końcu zaś artykułu mówi autor o „błogiem“ posłannictwie szkoły pruskiej i zamyka swoje brednie, często fałsze i panegiryki takiem zdaniem: „Jestto dzieło kulturalne w wielkim stylu. Naturalnie, że stary Fryc mógł samowolniej rozporządzać środkami państwowymi, a nawet p. Kallay stoi samodzielnej w Bośni, aniżeli pruski prezydent ministrów, lecz z dawnej działalności możnaby się wiele uczyć.“

Aby się z autorem załatwić na krótkiem toporzyszku, nie wiem doprawdy, co więcej podziwiać: czy szelmowską robotę szczucia, czy też bezczelną głupotę pismaka. Zastanawiając się jednak krytycznie nad ustawicznem jątrzeniem publiczności, przychodzę do niezbitego przekonania, że w całej tej robocie leży z góry ukartowany system szatański, zmierzający do wywołania walki na śmierć i życie dwóch narodów. Podłość i nikczemność pewnego odłamu prasy niemieckiej osądzają już dzisiaj bezstronni, a historya fakt ten również napisze krwawemi zgłoskami. I jeżeli nie zbijam twierdzeń pismaka z wieku XVII i XVIII, a więc czasów palenia czarownic na stosie, kaleczenia w brutalny sposób alchemików i t. p., to czynię to jedynie dlatego, ponieważ uważam czasy ówczesne za epokę bezmyślnego i ślepego barbarzyństwa, a chwilę obecną za czasy wyrafinowanego i umyślnego barbarzyństwa. W dobie, kiedy autor pieje panegiryki na cześć kultury niemieckiej, zaprzedawali ci sami kulturtraegerzy szary lud brunświcki w niewolę angielską, kwitło w Niemczech niewolnictwo, a „wielcy“ politycy niszczyli ościenne narody ekonomicznie, puszczając w obieg fałszywą monetę. O ile polskie rządy, jeszcze przed owym czasem, musiały być znośne dla ludu niemieckiego, świadczy fakt, że kiedy kurfürst brandenburski brał w posiadanie Prusy wschodnie, szlachta niemiecka, a na jej czele Kalksteiny, protestowała publicznie, zaś ludność Królewca ze swoim burmistrzem Rhodem, oparła się czynnie aneksyi. Dopiero po schwytaniu Rhodego i głównych rajców miejskich, opanowano Królewiec, a Rohdego gwałtem trzymano do śmierci w fortecy Peisnitz, znajdującej się na jednej z licznych wysp Sprewy. Takimi byli Królewszczanie, takimi też Gdańszczanie w czasach „okrutnych“ rządów polskich. A co się zaś tyczy „Blutgerichtu“ toruńskiego, to my w XX wieku mamy Wrześnię i niezliczony szereg innych faktów wysoce „kulturalnych....“

Tu chciałbym tylko jeszcze wspomnieć, że zwiększenie się niemieckiego kodeksu karnego w przeciągu jednego wieku o *dwa tomy*, nie może być uważane za *postęp i kulturę,* a namnożenie się *zbrodni i przestępstw* jest chyba mniej cywilizacyjnym krokiem. Zaś nadmierne zwyrodnienie dzieci szkolnych chyba świadczyć nie może o „błogiem“ posłannictwie szkoły niemieckiej. A gdzież zaliczyć ogromny wzrost więzień pruskich? Czy i to *„Schlesische Zeitung“* zalicza do „błogosławieństw kultury pruskiej?...“

Masovicus.

Strejki rolne w Galicyi.

(Oryginalna korespondencya „Pracy“.

Z Galicyi, — dnia 1. sierpnia.

Strejki rolne, zbiorowe strejki robotników — są u was w zaborze pruskim rzeczą prawie zupełnie nieznaną. Zdziwiła was zapewne więc wiadomość, że strejk taki wybuchł w Galicyi wschodniej, czyli na Rusi, a więcej jeszcze, że przybrał tak ogromne rozmiary. Twierdzenie bowiem pism ruskich, że strejk obejmował 100,000 robotników rolnych — nie wiele tylko mija się z prawdą.

W chwili, gdy to piszę, strejk już słabnie, gdy zaś niniejsza korespondencya dojdzie do rąk czytelników „Pracy“ — zapewne należeć już będzie do przeszłości, chyba, że zajdą wypadki, nie dające się naprzód przewidzieć. Wobec ciemnoty i łatwo zapalnego charakteru ludu ruskiego wszystko bowiem jest możliwe. Życzyć jednakże wypada, ażeby się spełniło pierwsze przypuszczenie moje. Dość już bowiem z strejku tego wynikło strat materyalnych dla obu stron, pracodawców i pracobiorców, dość spłynęło z jego przyczyny krwi i łez, aż nadto zaś rozlało się po całym kraju nienawiści, goryczy i jadu wzajemnych oszczerstw. Wiecie zapewne już z pism codziennych, że w kilku miejscowościach przyszło do starcia pomiędzy strejkującymi, a siłą zbrojną, przyczem nie brakło trupów i rannych. Teraz zaś więzienia zaludniają się coraz bardziej aresztowanymi za różne wykroczenia chłopami, których wysokie nieraz czekają kary.

Co było, co jest przyczyną tego nowego nieszczęścia Galicyi? Ano różni różnie o tem mówią i piszą. Pisma konserwatywno-agrarne oraz skrajne, przeciwne Rusinom zwalają *całą* winę na prowodyrów i agitatorów ruskich, a następnie na chłopów samych; pisma demokratyczne znów twierdzą, że *wina jest wyłącznie po stronie polskich panów* w Galicyi wschodniej.

Co do mnie, to chociaż to przykro przyznać, muszę potwierdzić to drugie zdanie. Odpowiedzialność za ten strejk oraz za smutne jego następstwa *spada głównie na polskich właścicieli większej własności ziemskiej w tych stronach.* Że w strejku tym odgrywała także rolę agitacya *narodowo-polityczna*, że był on w końcu wymierzonym nietylko przeciwko pracodawcom, ale przeciwko *Polakom wogóle*, to nie ulega wątpliwości, to przyznają nawet pisma ruskie. Pierwotnie jednakże miał wyłącznie charakter *ekonomiczny, zarobkowy*; jak w wielu podobnych wypadkach, tak i w tym, ruch z początku lokalny, spontaniczny, zamienił się w dalszym ciągu na ogólny, na *zorganizowaną* akcyą wojenną.

W kołach ruskich wrzało ogromnie z powodu odrzucenia przez sejm galicyjski subwencyi dla ruskiej „Proświty“ — oświaty. Był to krok ze strony sejmu bardzo niemądry a nawet *niesprawiedliwy*, rychło też strasznie miał się zemścić. Rzecz pewna, że w kołach ruskich od zamknięcia sejmu już przemyśliwano o zemście nad „Lachami“. Wrzenie to obejmowało atoli jedynie ruską inteligencyą i stan średni; lud mało o tem wiedział, i mało się o to troszczył i sam fakt odrzucenia subwencyi niebyłby go popchnął do walki z panami polskimi. Wtem nadeszła do Lwowa wieść, że w dwóch miejscowościach lud ruski uznał cenę pracy swej podczas żniw za zbyt nizką i że z powodu tego zastrejkował. Wiadomość ta zelektryzowała ruskich narodowców i radykałów. Znaleziono oto sposób zemsty, znaleziono *hasło* do zrewoltowania ludu. Natychmiast rozjechało się po kraju mnóstwo agitatorów, zaczęto ruch strejkowy szerzyć i organizować, najpoważniejsi prowodyrzy ruscy — z wyjątkiem — rzecz charakterystyczna — tak zw. „Moskalofilów“ — stanęli na jego czele. I w lot, w kilku dniach, jak za czasów kozackich, — płomień strejku ogarnął całą wschodnią Galicyę.

Czy byłoby przyszło do tego, gdyby lud nie miał powodu do niezadowolenia? Przenigdy! W kwestyach *zarobkowych* nigdzie, a także nie na Rusi — lud nie lubi podlegać innym wpływom i względom, tu rządzi się tylko na własną kieszeń. A właśnie te względy były mocno podrażnione.

Gospodarstwo na wielkich obszarach odbywa się na Rusi galicyjskiej inaczej — niż u was, a nawet, niż w zachodniej polskiej Galicyi. Majątki tutejsze a więc na Rusi są zwykle ogromne, bardzo rozległe; takie, które obejmują przy *jednym* folwarku 3000 do 4000 waszych mórg nie są rzadkością. Niezmiernie żyzna ziemia nie wymaga jeszcze większych nakładów intenzywniejszej kultury. Przeważnie tedy panuje gospodarka ekstenzywna, nieraz zbliżona nawet do rabunkowej. Tak samo pierwotnemi są stosunki robotnicze. Obok każdego większego majątku jest jedna lub więcej gmin chłopskich. Własność ziemska w tych gminach jest jednakże tak rozdrobniona, że mało chłopów może wyżyć z własnego kawałka roli; większość skazaną jest na zarobki poboczne, których nieraz, ponieważ dla *wszystkich* nie ma pracy we wsi poddostatkiem, szukać musi w dalekich stronach. Mając tedy pod ręką tylu przygodnych robotników, właściciel wielkiego majątku nie utrzymuje nigdzie prawie własnych, stale skontraktowanych, prócz naturalnie tak zw. *„służby dworskiej“*, fornali, skotarzy itd. potrzebnych do oprzątania inwentarza. Gdy odbywa się praca w polu lub w podwórzu, gdy potrzeba sił do pracy, wychodzi ekonom lub karbowy na wieś i obwołuje: „Potrzeba ludzi do tej a tej pracy, po takiej a takiej cenie!“ Kto tedy z chłopów ma potrzebę zarobienia kilku groszy i dobrą wolę, zgłasza się, pracuje, jak długo mu się podoba, odchodzi, gdy mu się praca znudzi. Tem się też tłomaczy lenistwo Rusinów; nie przyzwyczajeni, nie wychowani do pracy *obowiązkowej*, robią ot tylko tyle, aby z głodu nie umrzeć; po zatem lubią się wylegiwać i próżnować.

Także i sposób *płacy* jest prymitywny, niemal *patryarchalny*. Od wielu robót, mianowicie *żniwnych*, nie płaci się robotnikom gotówką, lecz *naturaliami*, pewną ilością snopków od kopy lub pewną miarą okopowin. Jest to system bardzo zły, gdyż daje *żydom* sposobność do wyzysku na wielką skalę. Wyłudzają oni bowiem te naturalia od chłopów nieraz za *połowę* rzeczywistej ich wartości. Jak niskie, barbarzyńsko nizkie zaś są nieraz *gotówkowe* zarobki robotników, to wykazują przykłady niektórych majątków, gdzie za *całodzienną* pracę płacono *dorosłemu* chłopu, 5, 8, 10, a najwięcej 15 centów, czyli *8 do 26 fenygów!!* — —

Czy można się dziwić, że lud w takich warunkach cierpi wielką nędzę i jest stale niezadowolonym?

Po za tą nędznie płatną pracą nic go przytem z dworem nie łączy, nie wiąże, a dużo ważnych rzeczy rozdziela. Nasamprzód *wiara*. Rusini są unitami, panowie oraz ich oficyaliści „łacinnikami“, a chociaż obie strony należą do wielkiego kościoła katolickiego, to jednak w pojęciach ludu wiara jego jest inna, niż wiara panów. Dalej dzieli go od nich *narodowość*, oraz *język* — a wreszcie zwyczaj i obyczaj, no i — wspomnienie kozackich czasów. Ze strony dworów nic się nie czyni, aby przedział ten złagodzić, aby pozyskać lud w jakikolwiekbądź sposób. Przeciwnie, uważa się go za *wroga* i jako *wroga traktuje*. Do tego przyłącza się inna wręcz *straszna* rzecz. Wielu posiedzicieli polskich wydzierżawia swe majątki, a jeźli już nie majątki, to zbiory, *żydom*. Jak bolesnym jest widok, gdy takich kilku żydów z kijami uwija się po polu nad gromadą nędznie odzianych Słowian-Rusinów — to odczuje tylko ten, kto własnemi na to patrzał oczami. Żydzi ci w dwójnasób zaś wyzyskują robotników swoich, nietylko bowiem płacą im najgorzej, ale nadto znaczną część zapłaty dają im w postaci *rozmaitych towarów na kredyt*, przyczem zarabiają po *kilkaset procent*. Towary to bowiem najnędzniejszego gatunku.

Czyż wobec tego dziwić się można, że wybuchł strejk i że podżegawcze głosy agitatorów taki znalazły posłuch?

Prawda jest, że chłopi w wielu okolicach stawili zbyt wygórowane żądania, z drugiej atoli strony i to zachodziło, że nawet najskromniejsze i zupełnie słuszne ich pretensye odrzucano, że właściciele lub żydowscy pachciarze woleli za drogie pieniądze sprowadzić robotników zkąd inąd, niż *miejscowym* przyznać lepszą płacę. To dolało oliwy do ognia.

Na ogół jednakże rzecz biorąc, lud wywalczył sobie strejkiem tym znaczne polepszenie płacy. Czy będzie ono trwałe, czy też ograniczy się tylko na tegorocznych żniwach, trudno przewidzieć. Przypuszczać można, że lud, raz poczuwszy swą siłę, będzie odtąd stale domagał się większej zapłaty. Na to nie pomogą żadne skargi i żale, temu nie zapobiegnie nawet *pomoc rządu*. Naprawa stosunków spoczywa w ręku *właścicieli ziemskich*. Niech zerwą z dotychczasową prymitywną gospodarką, z patryarchalnym sposobem płacy, mianowicie zaś z owem *faktorstwem żydowskiem*, niech się *starają o dobro ludu, niech zbliżą się do niego, a strejków w przyszłości nie będzie.*

Z kół prowodyrów ruskich padło hasło: *„Strejkami takiemi należy wyprzeć Polaków z wschodniej Galicyi.“* Jeżeli panowie polscy sami w czas nie wejdą na lepszą drogę, zwycięstwo Rusinów pod tem hasłem nie będzie trudne!

Poznańczyk na Podolu.

ECHA LETNIE.

Copoty, 4 sierpnia 1902.

(Specyalna korespondencya „Pracy.“)

Szare niebo wisi nad błękitną taflą morza, a hen przy nieboskłonie wynurza się ciemny pas sinego lasu z białą wieżą, latarnią morską na Helu. Siwe nitki deszczu, niby parciana przędza olbrzymiej przędzalni, łączą się z matką ziemią, jakby wzięły z nią ślub wieczny... Deszcz pada, pada, a ciemne, ołowiane chmury unoszą się złowrogo nad zwierciadłem morza i szmaragdową zielenią łąk, albo złotą szachownicą dojrzałych żyt, wymłóconych przez grad lub potarganych i pomiętych ulewą codzienną.

Na pomoście, wysuniętym dwieście kroków w zielonawe fale Bałtyku, przesuwają się wykwintnie wystrojone postacie kobiet i mężczyzn, rozmawiające i śmiejące się hałaśliwie, a tylko po boku, na ławach, zajęły miejsca parki szepcące lub krytykujące półszeptem toalety przechodniów. Wszędzie stroje najświeższej mody paryzkiej i angielskiej

jedne mniej, drugie więcej gustowne i układne, stósownie do kieszeni i kształtów właściciela ewentualnie właścicielki; a jeżeli czasami wysunie się z pod szeleszczącej sukni na światło dzienne szkaradnie wykrzywiony obcasik lub do żółwiowych formatów wygamgany bucik, to tego rodzaju dysharmonia nie wpływa na ogólny szyk i wykwint kąpielowiczek, bo to są sceny możliwe nawet u najzwyklejszych śmiertelników.

Dawniej, a będzie temu zaledwie lat sześć, gdym wysiadywał na bocznej ławie pomostu, przesuwały się przed mémi oczyma buciki tych samych formatów i ułomności, przeplatane wprawdzie od czasu do czasu miarowym krokiem *palonych butów* i nad nimi wiszącą *czamarą* lub innym strojem *narodowym*.

A dziś... Z wyjątkiem jednej lub dwóch *maciejówek* nic zgoła, nic!... Żakiety, surduty i marynarki wyparły nasze stroje narodowe, a panie nasze, któreby w konfederatce lub kontusiku bezwątpienia prędzej męża znalazły, stroją główkę w rembrandty obszerne, przykrywające wprawdzie kosmetyki podejrzanej wartości, lecz przysłaniające również delikatną cerę i sympatyczne rysy, znamionujące tak dodatnio odrębność szczepu naszego; suknie zaś, uwydatniające niepomiernie smaczne kształty, zwłaszcza tam, gdzie natura była zbyt szczodrą, przyczyniają się wiele do obudzenia w mężczyznach zachwytu, ale mniej smaku estetycznego, chociażby każda — czego tylko życzę -- była Venus Milońską... Ale bądźmy łagodni, bo szata, fason, moda i nawet wykoślawiony bucik — nie robią podobno ludzi, a nawet Polki lub Polaków! Przyznacie więc szanowne Copocianki, że jestem pod tym względem bardzo wyrozumiałym, gdybym naturalnie tylko kapichnę mniej był zgryźliwym, jak zresztą natychmiast wykażę, zwłaszcza w takim razie, gdy chodzi znów o — narodowość...

-- „Narodowość tu, narodowość tam! Patryotyzm hen, patryotyzm tam i tak wiecznie bez końca, że już w Copotach, gdzie się zjeżdża dla wypoczynku i ułaskawienia nerwów, biczują nas — ci nieznośni dziennikarze!" słyszę wokoło zdenerwowane głosiki, płynące z różowych usteczek, niby sarkastyczny śpiew spóźnionego słowika. Dalibóg, proszę mi wierzyć, że jako współpracownik „*Pracy*" zjechałem z ludzkiego polecenia redakcyi, spłukać słoną wodą również przez cały rok wyniszczone nerwy i miast w spokoju się kąpać i obficie spożywać smaczne potrawy w „Domu Polskim," muszę wysiadywać do późnej nocy w pokoju i kreślić niniejszą korespondencyą. Zadanie mało przyjemne, zwłaszcza w sytuacyi tak niesmacznej, gdzie inteligencyą, a więc nie szare masy i lud nasz, trzeba nawoływać do obowiązków względem społeczeństwa, względem godności osobistej.

Po strojach i ubiorach zdawałoby się, że w Copotach brak w tym roku całkiem Polonii, gdyby dźwięk akcentu poznańskiego, zachodnio-pruskiego lub też warszawskiego nie zdradzał, że mamy w tym czasie dosyć pokaźną liczbę naszych rodaków, ale ubranych obco, po europejsku...

Warszawiankę zdradza na pierwszy rzut oka wykwintna toaleta, specyalnie zaś sposób jej noszenia i zgrabny bucik. Gdyby tylko nasze kobiety chciały, bo mają smak wykwintny, gust elegancki, a talent w tym kierunku specyalnie wielki, to mogłyby wytworzyć modę szczególnie polską, którąby ościenne narody przez elegancyą i szyk zmuszała przyjmować kulturę naszą, a co byłoby dla narodowości i cywilizacyi polskiej tylko rzeczą dodatnią, bo nawet i przez takie próżne rzeczy jak strój i ubiór, można krzepić ducha i kształcić serce w uczuciu ojczystym. Przedewszystkiem Wielkopolanki i Polki z Prus Zach., mniej krępowane w tym względzie, a szczególniej w chwili obecnego ucisku, wszędzie i na każdym miejscu winny nawet powierzchownością rozsiewać poczucie narodowe, a uczynić to mogą i bez wątpienia uczynią, bo znamy ich poświęcenie...

Napływ gości do Copot w roku bieżącym, a zwłaszcza Polaków, jest zrozumiale szczupłym, szczególniej po przedzierzgnięciu się Copot z wioski na miasto i wygłoszeniu z tej okazyi gorącej mowy hakatystycznej przez pierwszego burmistrza. Czyn w każdym bądź razie podobno bardzo dodatni dla wzmocnienia zagrożonej niemczyzny na kaszubskich kresach, ale odbijający się dotkliwie na kieszeniach kupców copockich i innych mieszkańców, żyjących z przyjezdnych. „Dyplomatyczny" ten krok burmistrza copockiego wykazuje tylko 3,000 gości mniej, aniżeli w roku ubiegłym i nie poruszałbym sprawy tej, gdyby i nasi Polacy, w sporej liczbie tu osiedli, a wiodący żywot swój z przyjezdnych, w ubytku tym nie brali pokaźnego udziału.

Nawoływanie pism o omijaniu Copot i udawaniu się w polskie letniska, nie może wytrzymać rozumnej krytyki, jeżeli zwrócę uwagę, że przecież nie wszyscy letnicy i chorzy mogą się li tylko udawać do miejscowości górskich, albo też innych uzdrojowisk polskich, a gdy muszą nad morze, udawać się nad Adryatyk, lub do Belgii i Francyi. Na dalsze podróże nie wystarczają zawsze fundusze, a zresztą Copoty mają sporą kolonią polską w okolicy wyłącznie zamieszkałą przez ludność polską, Kaszubów, potrzebujących żyć i przez napływ inteligencyi naszej krzepić się na duszy i sercu.

Ze względów czysto narodowych jestem całkiem przeciwny powstałemu w Warszawie hasłu: „precz z Copotami!" Owszem, omijajmy wszystkie „bady" niemieckie, lecz jeżeli ktoś musi nad morze, zdrowie jego łaknie ożywczej wody morskiej i świeżego powietrza, ten i w Copotach, jeżeli się tylko czuje Polakiem, nie potrzebuje wrzucać pieniądz do sakwy obcej, a w wolnych chwilach, zwiedzając śliczną okolicę Copot i Oliwy, spełniać może jeszcze moralną misyą narodową, siejąc okruchy oświaty ojczystej w chatkach braci kaszubskiej.

Sulla.

Z TYGODNIA.

Sprawa *Loehninga* poruszyła całe Niemcy, ba! stała się głośną w całej Europie. Gazety wszystkich krajów rozpisywały się o niej obszerniej i nie omieszkały wyrazić żdziwienia swego, że w sercu Europy, w państwie, które według własnego sumienia przoduje innym w kulturze, panują stosunki, przypominające żywo stosunki w Chinach! W Niemczech zaś dominowała ta sprawa ponad wszelkiemi innemi, zapominano wobec niej nawet na chwilę o niezałatwionej jeszcze nowej taryfie celnej. I tu zdumiały się szerokie koła. Poczciwi szpisbürgerzy niemieccy sądzili przecie, że w ojczyźnie ich od czasu ogłoszenia konstytucyi panuje zupełna równość, że syn szewca lub krawca zostać może, jeżeli już nie leitnantem, bo ta kategorya ludzi nie podlega osobnej równości — to przynajmniej ministrem lub kanclerzem. A tu nagle dowiedzieli się, że nawet córka sekretarza rejencyjnego nie może zostać choćby tylko panią dyrektorową ceł i podatków. Wiedziano, że feldwebel w służbie czynnej, to bardzo niska figura, to wobec oficerów dopiero półczłowiek, nie przypuszczano jednakże, iżby tytuł ten mógł jeszcze poniżać ludzi w późniejszym wieku i na cywilnem stanowisku. A no, otworzyły się Niemcom oczy na te błogie stosunki, na tę „wysoką kulturę", panującą w ich ojczyźnie i może teraz czuć się będą mniej szczęśliwymi. A gdy sobie pomyślą, że ci, którym wstręt sprawiała sama myśl, iż „feldweblówna" zasiądzie w salonach dygnitarskich, to *hakatyści*, którzy bezustanie szczują na Polaków, — wówczas może i na całą hecę antypolską spoglądać zaczną innemi oczyma. Może zaświta im w głowie, że chyba i

w sprawie polskiej nie dobrze służą swej ojczyźnie ludzie, którzy publicznie śpiewają hymny na niewiasty niemieckie i wynoszą je pod niebiosy, byle tylko pozyskać je do walki z polskością, po za kulisami zaś niewiastami temi, jeżli pochodzą z niższego lub średniego stanu brzydzą się bardziej, niż zbogaconą na lichwie córą Izraela.... Nie wierzymy wprawdzie, iżby sprawa ta wywołała zaraz przewrot w usposobieniu Niemców, na to potrzeba czegoś więcej jeszcze, boleśniejszych „szturchańców“ — bądź jak bądź — nie przysporzy ona sławy hakacie, lecz ukaże się ich szerokim kołom w właściwym świetle. A i z tego zadowoleni być możemy.

Cesarz *Wilhelm* wrócił już z swej wycieczki na północne morze i zaraz po powrocie wygłosił dłuższą mowę w Emden w Hanowerze. Ztamtąd przez Kilonią udał się do *Rewlu* w Rosyi, gdzie spotka się z carem Mikołajem i będzie obecnym na wielkich manewrach rosyjskiej floty wojennej. Za boki ze śmiechu brać się można, gdy czyta się głosy niemieckie z powodu tej wizyty. Te same organa, które podróż każdego innego monarchy uważają jedynie za wyraz grzeczności dworskiej lub dynastycznej i odmawiają podróżom takim wszelkiego znaczenia politycznego, te same organa starają się teraz na gwałt nadać właśnie tej wizycie cesarskiej w Rewlu wysoce polityczny charakter i przebąkują tajemniczo, że wpłynie ona ogromnie na bieg całej europejskiej polityki. Niektóre zaś cieszą się już nadzieją, iż we Francyi powstanie z powodu zjazdu w Rewlu ogromne zaniepokojenie i niezadowolenie, które osłabi bardzo sympatye Francuzów dla Rosyi. Naiwni albo obłudnicy! Trudno przypuścić, iżby rzeczywiście wierzyli w to, co głoszą. Jeżli wierzą, to grubo się mylą. Jeżli która podróż monarsza w ostatnich czasach, to właśnie ta ma charakter czysto *prywatny*, charakter wizyty sąsiedzkiej i na stosunki międzynarodowe absolutnie nie wpłynie. Choćby nawet wygłaszano podczas niej Bóg wie jakie serdeczne toasty — nie zmieni to postaci rzeczy, która dziś jest taką, że Rosya ani myśli o zbliżeniu się do Niemiec, lecz nadal zajmować będzie względem nich stanowisko nie wprost nieprzyjazne, ale też bynajmniej nie serdeczno-życzliwe. Wiedzą o tem dobrze we Francyi i dlatego zapatrują się na tę podróż tak samo obojętnie, jak i my — Polacy.

We *Francyi* toczy się dalej walka z zakonami, chociaż w ostatnich dniach nieco złagodniała, co ma być następstwem życzliwych uwag rządu rosyjskiego. I Rosya nie jest przyjaciołką zakonów katolickich, obawia się jednakże widocznie, że taka wewnętrzna walka zanadto może Francyą osłabić. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Socyaliści rozwijają w Poznaniu żywszą niż kiedykolwiek agitacyą, ażeby jaknajwiększe masy ludu polskiego zwabić pod swoje czerwone sztandary. Środki i sposoby, jakiemi się posługują dla dopięcia celu, są przebiegle i chytrze obmyślone. Wiedzą dobrze, że wiara i narodowość wśród ludu polskiego zbyt silnie są zakorzenione, zbyt ściśle zrosłe z jego istotą, iżby te czynniki można naruszać dla właściwych idei socyalno-demokratycznych, które porówno z religią, jak i narodowością nie są zgodne. Tem się tłumaczy, że socjalna demokracja u nas nie operuje wprost i nie we właściwym charakterze, lecz zachodzi do ludu krętemi drogami z obłudną maską narodową na swojem obliczu.

Niekiedy jednak zdradza się niedostatecznie zamaskowana istota socjalnej demokracyi. I tak świeżo znowu objawili socjaliści swą narodową bezbarwność w odezwie do ludu polskiego, nawiązaną do przyszłych wyborów. Znajduje się w niej taki n. p. dużo mówiący ustęp:

„Otóż ludu pracujący polski, nie daj sobie zamydlić oczu. Ten wielki huk i ta wrzawa, które powstały z powodu wypadków we Wrześni, mają przedewszystkiem na celu otumanić Ciebie i wystrychnąć na dudka. Naszym polskim obywatelom — szlachcie, naszej partyi tak zwanej ludowej to najlepsza gratka, aby *pracującemu ludowi* znowu wmówić, że jego największy i jedyny wróg — to „Niemiec“, a oni, szlachta i mieszczaństwo polskie, to szczerzy obrońcy ludu. Ten zamęt i ta walka narodowościowa to najlepszy sposób dla nich, żeby ludowi odwrócić oczy od jego najważniejszych spraw, od kwestyi jego bytu materyalnego, od nędzy, wyzysku, ceł zbożowych, bezrobocia. W tej wielkiej wojnie, która się znowu wszczęła między polską a niemiecką ludnością, lud polski ma stracić z oczu, gdzie są jego właściwi wrogowie, a gdzie prawdziwi bracia.“

Więc dla nasadzenia i podbechtania polskich robotników nie wahają się agitatorzy socyalistyczni nazwać „tumanieniem“ tego krzyku bólu i protestu, jaki się wyrwał z piersi narodu z powodu wrzesińskiego dramatu. Prawie niepodobno przypuścić, iżby do takiej roboty Polacy także, choćby niewiem jak niezadowoleni z obecnych stosunków społecznych i ekonomicznych, przykładać mieli rękę. A jednak zdaje się, że zwolna, lecz stale rośnie zastęp obałamuconych socjalistycznemi hasłami rodaków. Rozpęd agitacyjny zaś już się nawet nie wstrzymuje przed klasą rzemieślniczą, jeno porywa się na nią tak samo, jak na szlachtę i większych przemysłowców. Dalej bowiem opiewa odezwa:

„Obywatele robotnicy polscy! Nie dajcie się oszukać i oszołomić! Polski szlachcic, polski fabrykant i majster, to nie są Wasi przyjaciele ani obrońcy. Oni was wyzyskują i zdzierają nie gorzej od Niemców, oni głosują za zwiększeniem poborów wojskowych, za podwyższeniem ceł na zboże i mięso.

„Ich obrona ludu polskiego to fałsz i obłuda!... Oni należą *nie do nas, nie do klasy pracującej* polskiej, oni należą duszą i ciałem do wyzyskiwaczy niemieckich, — do niemieckiej szlachty i fabrykantów. Tam też tedy ich miejsce, a nie na czele polskiego ludu...“

A więc oprócz zwyczajnego robotnika wszystko inne nic nie warte, wszystko inne próżnuje, bąki zbija i wyzyskuje „klasę pracującą“ jedynie tj. robotników. Potrzeba istotnie dużo bezczelności, żeby robotnikom podobne fałsze jako artykuły wiary socyalnej narzucać.

Ale wobec celów socjalnej demokracyi snadź każdy środek jest dobry. Autorzy polskiej odezwy socjalistycznej nie gardzą nawet serdecznem podlizywaniem się Niemcom, byleby klasę roboczą przeciwko wszystkim sferom społeczeństwa polskiego zbuntować. Dowodem na to zakończenie odezwy następującego brzmienia:

„A za to *nie każdy Niemiec jest nam wrogiem.* Owszem *cały lud pracujący niemiecki potępia germanizacyą* i pragnie dla nas wolności języka i równouprawnienia. Niemieccy socyaldemokraci jedyni bronili i bronią nas szczerze w parlamencie. Przedstawiciele niemieckiej socyaldemokracyi wnieśli do międzynarodowego biura socyalistycznego w Brukseli w porozumieniu z nami, socyaldemokracyą w Poznańskiem, protest przeciw germanizacyi wrzesińskiej.

„Robotnik niemiecki to nasz brat w niedoli i nasz towarzysz w walce o lepszy byt. On razem z nami jest przeciw wojnom i żołnierce, on pragnie jak i my dla wszystkich ludzi równości, wolności i braterstwa.

„A więc: baczność, ludu polski! Trzymaj się dzielnie, a nie daj się oszukać ani zagłuszyć. Po Wrześni jak i przed Wrześnią hasło nasze pozostaje to samo:

„Nie z polską szlachtą i polskiem mieszczaństwem przeciw „Niemcom“,

„tylko wespół z niemieckim ludem roboczym *przeciw polskim* i niemieckim *wyzyskiwacąom*, przeciw *polskiemu* i niemieckiemu *uciskowi!*

Komisya agitacyjna socyaldemokratycznej partyi w Księstwie Poznańskiem.“

Pod względem sympatycznego przymilania się do Niemców polscy socyaliści dziwne pokrewieństwo zdradzają z Rusinami, którzy zapomniawszy o starodawnem, tradycyjnem z Polakami braterstwie po zagranicami rodzinnego kraju zohydzają Polaków, wojując fałszem i kłamstwem. Ta sama broń służy im do tego, ażeby wschodnią Galicyę z wielkiem dla niej uszczerbkiem w ciągłym trzymać niepokoju, rozpłomieniać namiętności, rzucać żarzewie buntu pomiędzy lud. Zamiast pracować wspólnie z Polakami nad rozwojem społecznym, oświatą i polepszeniem bytu materyalnego, podnoszą Rusini z lekkiem sercem hasła narodowościowego rozbratu, krzycząc na ucisk i krzywdy narodowe,

których Polacy im nie wyrządzają wcale. Słusznie też pisze „Kuryer Poznański“:

„Rusini spaczyli umyślnie społeczną akcyą, nadali jej piętno nienawiści narodowościowej, dyktując np. cięższe warunki porozumienia nie tym, którzy bardziej robotnika rolnego wyzyskiwali, lecz owszem tym, co byli dla niego sprawiedliwi i wyrozumiali, a poważali się tylko w sejmie głosować lub przemawiać za odebraniem subwencyi ruskiemu hakatystycznemu stowarzyszeniu „Proświta„ (Oświata). Prowadząc w ten sposób akcyą, Rusini udowodnili, że nie chodzi im o polepszenie doli robotników rolnych, co byłoby dążeniem sympatycznem, że nie chodzi im również o korzyść narodową ruskiego narodu, co równieżby nas nie oburzało, ale o zaszkodzenie Polakom, — o ziemię, — przez nich posiadaną, w chwili, kiedy o kilkadziesiąt mil na zachód taką samą akcyą prowadzą przeciw nim hakatyści pruscy. A w środkach przytem agitatorzy ruscy do tego stopnia nie przebierali, że, jak teraz już można stanowczo stwierdzić, krew niewinnego ludu się polała...

„Więc i strejki rolne nie są czemś przypadkowem, ale są jednem z punktów wspólnej przeciw Polakom kampanii Rusinów i hakatystów pruskich.“

Obok krwawego strejku w Galicyi wschodniej, najwięcej zwracała na siebie uwagi poruszona przez nas w ostatnim numerze sprawa dyrektora i tajnego radzcy Loehninga. Z początku milcząca, jakby ogłupiała, rozpuściła prasa hakatystyczna śluzy swojej złości z tego powodu, że jeden z najwyższych urzędników w dzielnicy poznańskiej śmiał „den bewehrten Kurs“ czyli obecną politykę rządu, w tak fatalny sposób skompromitować. Co zaś najciekawsze, to, że w braku argumentów, mogących osłonić klęskę przed światem, wszystkie półurzędówki i polakożercze piśmidła uderzają w jeden ton: „Jak mógł człowiek o takich wyobrażeniach być cierpianym tak długo na wysokiem stanowisku; przecież i bez jego historyi małżeńskiej należało go co rychlej uprzątnąć.“ Oto główna treść wywodów hakatystycznej prasy, nienawistnie zwróconych przeciwko mężowi, który nawet na wyższej posadzie rządowej miał odwagę okazać swoje wolnomyślne zasady i potępiać antypolski system prześladowczy.

Atoli wśród wrzasków nienawistnych prasy takiej, jak „Kölnische Ztg.“, „Täg. Rundschau“, Münchener N. Nachr.“, „Leipziger Ztg.“, „Hamb. Ztg.“ i tym podobnych organów, odezwały się głosy uczciwsze, z których szczególnie głos „Kölnische Volksztg.“ zasługuje na uwagę. Napiętnowawszy trafnie sprawę Loehninga, a wraz z nią całą politykę antypolską, nadreński organ katolicki pisze:

„W całym świecie polityka antypolska dyskredytuje nas, wystawia nas w całym starym i nowym świecie na drwiny i nienawiść. Poświęcono pół miliarda, a korzyść odniósł przeciwnik. Ta polityka hakatyzmu działa pomiędzy Niemcami tak, jak jabłko niezgody, a po każdym nowym objawie odnosi się wrażenie, że jest ona powołaną do tego, aby ciągle rozradzając się, złe rodzić. Czyż nareszcie nie utoruje sobie drogi dodatniejsze zapatrywanie?“

Uczciwe to zapytanie, ale na odpowiedź uczciwą pewno długo, długo trzeba będzie czekać. *A. D.*

Głosy od przyjaciół.

Z pod Witkowa.

Nowy sprzedawczyk — kolonizator ukazał się w naszych tu stronach w osobie p. I. Szymańskiego, dawniejszego urzędnika gospodarczego u hr. Żółtowskiego. Szymański bowiem sprzedał przed kilku dniami swój folwark „Huta skorzencińska“, obejmujący około 580 mórg ***Niemcowi,*** przysłanemu podobno z poręki komisyi kolonizacyjnej, chociaż miał kupców Polaków. Z jakiego powodu? czy z potrzeby — z biedy? Gdzież tam! przecież on podobno 600 marek pensyi pobiera od hr. Żółtowskiego, u którego jako urzędnik dorobił się majątku. Sprzedał Niemcowi — bo — jak powiada — *żaden Polak tyle zaliczki mu nie dawał — ile Niemiec ofiarować;* naturalnie, bo Polak z funduszów kolonizacyi nie bierze zapomogi. Oburzenie u sąsiednich gospodarzy polskich wielkie. Szymański wyrządził przez to wielką szkodę parafii i narodowym sprawom, które zapewne bardzo mało go obchodzą. Chodzi mu o grosz, a ten — jak powiedział Czajkowski — choćby sam dyabeł dał — to ojczyznę bierz licho! *Nie sprzedawczyk.*

KRONIKA.

Dziwne czasy! W szerokich warstwach społeczeństw niezadowolenie, tu i owdzie bunty, strejki i rozruchy, w międzynarodowych stosunkach coraz więcej niechęci i nienawiści, a ponad tem wszystkiem, jakby w sferze, oderwanej od tych zatargów, waśni i kotłujących namiętności, odbywają się zjazdy i wizyty monarsze wśród „nader serdecznych uścisków.“

Zaledwie przycichły echa o czułościach z Iszlu, z dnia pobytu króla rumuńskiego Karola w gościnie u cesarza Franciszka Józefa, a już piszą gazety o serdecznościach w Rewlu, dokąd udał się cesarz Wilhelm, ażeby jako gość cara Mikołaja uczestniczyć w manewrach floty rosyjskiej.

Działa grzmiały, na statkach rosyjskich brzmiały hymny niemieckie, na niemieckich rosyjskie, monarchowie obaj witali się znów „nader serdecznie“, a dzienniki rozpisują się o „widocznych oznakach przyjaźni trwałej władzców i narodów.“

I przypuszczaćby należało, sądząc po opisach, że wszędzie na świecie dobrze jak wraju, że mocarze myślą tylko o przyjaźni, i że uszczęśliwione narody, przypatrują się temu z osobliwą rozkoszą, rade ze swej doli i swego położenia.

A tymczasem w zaciszu pracuje statystyka i w zestawieniach cyfrowych wykazuje dobitnie, że niezadowolenie ludu się wzmaga i że coraz duszniej i duszniej.

I w Poznaniu coraz duszniej. Ale niezadowolenie $^2/_3$ mieszkańców tutejszych, narodowości polskiej, pozostanie w starannem ukryciu poza odświeżonemi paradnie frontami domów. Szumne fanfary zagłuszyć mają skargi nasze na naszej ziemi w chwili odwiedzin monarchy.

Wbrew poprzednim pogłoskom wjazd i pobyt cesarza niema zachować czysto militarnego charakteru. Przed bramą berlińską piętrzyć się podobno jednak będzie trybuna dla 1500 osób dla publiczności, cała droga z dworca do jeneralnej komendantury ma być wytwornie wystrojona, jakby ulica tryumfalna, a szpalery wojsk o błyszczących chełmach i guzikach oraz szpalery obywatelskie dopełniać będą reszty wspaniałości.

W sobotę odbyła się w sali posiedzeń Rady miejskiej, w nowym ratuszowym gmachu, wielka narada przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych w sprawie uświetnienia przyjęcia monarchy. Wybrano komitet dla zajęcia się wystrojeniem miasta, iluminacyą i t. p. W tym samym celu naradzał się też w poniedziałek magistrat poznański i uchwalił wydać odezwę do obywateli z zachętą do jak najświetniejszej dekoracyi domów i rzęsistej iluminacyi w dniu 3 września, tj. w dzień po zawitaniu monarchy do Poznania.

Muzeum niemieckie, w którem ma się odbyć paradne przyjęcie, już na ukończeniu. Pierwszy raz d. 3 września popisze się patryotyczne krasomówstwo w tym gmachu wzniesionym „zur Stärkung des Deutschthums in den Ostmarken.“ *Alius.*

Straż nad morzem polskiem.

Hej pieńcie się fale, gromowy zaś huk
Niech odgłos komendy zagłuszy!
Daremnie wichuro szalejesz, gdyż Bóg
Ster włożył nam w serce, do duszy!

Drużyno do wioseł! Jastarni tam ląd;
Północne narodu toć straże.
Precz żagle i maszty, bo niesie nas prąd,
Jak rozum, żylasta dłoń każe.

Do brzegu, do brzegu! a teraz już w bród;
Pruj krzepko rękoma bałwany!
Tu bracia Kaszubi kresowy nasz gród
Pod pieczę przez naród nam dany!

Wszak widział z was każdy, jak wścickłość tych fal
Daremnie waliła w bok łodzi.
A wiecie wy czemu? Bo w sercu się stal
Przez sto lat zapasów wyrodzi.

Lecz sroższa nad burze śród morskich tych pian
Nikczemna podstępność, gwałt, trwoga!
Więc ćwiczmy się dzielnie, bo oprócz krwi, ran
Męczeńska wynurza się droga.

Hartujmy też serca, bo bliskim jest czas,
Gdzie przyszłość dziejowa się zważy,
A gdy ze szczyt Tatrów lud spyta się nas,
Krzykniemy: *Kaszubi na straży!*

Karol Barski.

FLISACY.

(Do illustracyi albumowej.)

Wisła, wspaniała rzek naszych królowa, której wybrzeża zalegają z jednej strony niziny i żuławy, z drugiej osepy piaszczyste, borami wieńczone, wielkie, wysokie, z siłą młodzieńca rzuca się w doliny, przeskakuje głazy i skaliste progi, tworząc sobie tór według własnej woli. Gdzie ją ścieśniają brzegi, tam gniewny podnosząc szum, pieni się i burzy i rośnie w górę, nie cierpiąc więzów. Rozlana w równinę, wije się swobodnie i buja wolniejszym pędem po łąkach i żuławach. Urosła w siłę i wiek, wzmocniona innemi wodami, toczy się wolniej a wolniej ku morzu, niosąc na sobie galary, parowce, tratwy i inne statki, zapełnione bogactwami naszej polskiej ziemi.

A na galarach uwijają się flisacy, wiosłując i kierując statkami z natężeniem sił. Ciężka to bardzo i mozolna praca, ale mimo to nasz flisak zawsze wesoły i żwawy, zdolny, jak to mówią, i do bitki i do wypitki i do różańca i do tańca.

Taką wesołą chwilę z życia flisaków obrazuje nasza illustracya albumowa. Flisacy dopłynęli do brzegu Wisły na wypoczynek, ale nie wszyscy wypoczywają, gdyż dwóch z nich tańczy na czelnie przywiązanem do galaru przy dźwiękach zaimprowizowanej przez dwóch innych kolegów muzyki. Scenie tej przypatrują się towarzysze podróży widocznie z wielkiem zainteresowaniem, a dwóch młodzieńców taniec i muzyka tak nawet rozentuzjazmowały, że się ściskają i całują jakby para zakochanych.

* * *

Pisząc o Wiśle i flisakach, wspomnieć musimy koniecznie o pięknem i znalepszem dziele poetyckiem, napisanem przez ziomka naszego, Wielkopolanina, Sebastjana Klonowicza, rodem ze Sulmierzyc ur. 1551 r., a napisanem już przed przeszło ćwierć tysiącem lat p. t. „Flis", t. j. spuszczanie statków Wisłą i innemi rzekami do niej przypadającemi.

Klonowicz należy do wybitnych literatów-poetów okresu III t. zw. Zygmuntowskiego czyli złotego wieku naszej literatury; pisał także dzieła w języku łacińskim, które przewyższają nawet utwory łacińskie Jana Kochanowskiego i innych ówczesnych polskich poetów.

Jaką serdeczną miłością rodzinnej ziemi tchnie „Flis", o tem świadczy najlepiej następujący zeń wyjątek:

ZALETY POLSKI.

Lecz miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła jako u Boga na łonie;
Może nie wiedzieć Polak co to morze,
Gdy pilnie orze.

Tu Ceres nową osadziła wolą
Opuściwszy tam Sycylijską rolą;
Tu żyta rodzi niezliczone łaszty,
Brogi jak baszty.

Tu gumna w szczyrych zolach stoją hojne,
Tu wzwor bogaty, tu żniwa spokojne,
Tu chłopek wesół, bo pewnie ma wszytko,
Kiedy ma żytko.

Niech kto chce chwali Azyą urodną,
Niech chwali Egipt i Nilowę płodną
Soczwicę: Polska ma dosyć owszeki,
Choć w brzegach rzeki.

Tu zwierza dosyć, tu bydło rogate,
Tu woły tuczne i owce kosmate,
Pasą się w łąkach jałowice tłuste
I kozy puste.

Ztąd ma gospodarz i sprzęże do pługa,
Ztąd ma odzieże pan i dobry sługa,
Ztąd mięso świeże, nabiału dostatek,
W mieszek ostatek.

Gęsi moc wielka w łęgu szczebiotliwych,
Kaczek łakomych, łabędzi krzykliwych;
W domu obfitość sadowi się wszędzie
Kurów po grzędzie.

Lecz też do stołu nielada potrawy
I gołębiniec rodzi nam dziurawy:
Połcie też w domu z niemałą pociechą
Wiszą pod strzechą.

Leśne bogactwa nieoszacowane
Hojnym Polakom od Boga są dane.
A kto je sobie chce dobrze uważyć,
Może ich zażyć.

Po ziemi łanie i sarneczki żartkie,
Po drzewie ptastwo igra sobie wartkie,
Do barci niosą pracowite roje
Zdobycze swoje.

Ryb też dostatek prawie dobrej wody
Rodzą jeziora, stawy, rzeki, brody.
Owa Polakom na niczem nie schodzi,
Wszystko się rodzi.

Przetoż już nie wiem, czemuś wżdy tak chciwy
Polaku bracie! mając takie niwy;
Czego wżdy szukasz w dalekim powiecie
Na nowym świecie?

* * *

Bardzo wielu naszych literatów i poetów opisało i opisuje Wisłę, a nieśmiertelny nasz mistrz tonów Moniuszko skomponował nawet bardzo piękną operę p. t. „Flis."

Między innymi prócz Klonowicza drugi nasz ziomek, Wielkopolanin, żołnierz-poeta, jenerał wojsk polskich, Franciszek Morawski, rodem z Pudliszek niedaleko Krobi, napisał piękny wiersz o Wiśle, która tu Polskę znaczy. Jak pękają lody Wisły, tak pękną kiedyś kajdany naszej niewoli — oto myśl następującego wiersza:

WISŁA.

Sarmackiej Wisły zbożopławne wody
W twarde ściąwszy lody,
Cieszyła się sroga zima,
Że je w swoich więzach trzyma.
Patrzcie, wołała, patrzcie dumne wały,
Coście w tej śmiesznej wolności bujały,
W jakich jesteście okowach!
Oto was każdy przychodzień
Depce, rąbie codzień.
I byle Kałmuk jeździ wam po głowach;
A wy cóż na to? ani mruknąć śmiecie;
Takie to was jarzmo gniecie,
Tak to zima włada!
Prawda, że jesteś niezmiernie zażarta,
Tak jej z pod Tatrów na swej urnie wsparta,
Stara Wisła odpowiada.
Nie wszędzie przecie cięży twa potęga,
Zawsze tam, zawsze pod tym twardym lodem
Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem,
Tam twoja władza nie sięga.
Niech tylko moje słońce mi zabłyśnie,
Wkrótce ta cała przestrzeń lodów pryśnie.
Te śniegi nawet, któreś ty zuchwała
W przepaści gór tych nawiała,
Same mi kiedyś pomogą
Zrzucić twoję siłę srogą.
Dmij więc, dmij groźnie z twemi Akwilony,
Ścinaj, krępuj nurt ścieśniony;
Spieszącej wiosny nie zatrzymasz w pędzie.
Pójdziesz, zkąd przyszlaś, Wisła Wisłą będzie.

* * *

Artykuł nasz kończymy dziarskim Krakowiakiem Edmunda Wasilewskiego p. t. „Wisła", oraz piękną piosnką chórową p. t. „Pieśń Flisaków", wziętą z obrazka ludowego, napisanego przez J. Chęcińskiego p. t. „Werbel domowy." Obrazek ten ludowy przedstawiają często w naszych teatrach amatorskich, piszący niniejsze słowa występował nawet w tym obrazku w roli wyrostka wiejskiego już przed 30-ciu laty jako amator na prowincyi, więc piękna melodya zamieszczonej poniżej śpiewki, jest z pewnością wielu Czytelnikom znana:

KRAKOWIAK.

Od południa stoi
Matka Babia-góra,
Urodziła jej się
Śliczna Wisła córa.
Matko moja, matko!
Puść mię z góralami,
Bo mi jakoś tęskno
Pomiędzy górami.
Pięknie Wisła płynie,
W rozkosznej dolinie,
Zobaczyła Kraków,
Pewnie go nie minie.
Zobaczyła Kraków,
Przy nim trzy mogiły,
Co sławnych Polaków
Popioły pokryły.
Płynie Wisła płynie,
W rozkosznej dolinie,
A dopóki płynie
Polska nie zaginie,
Bo ta polska ziemia,
Ma ten urok w sobie,
Że kto ją pokochał
Nie zapomni w grobie.

* *

PIEŚŃ FLISAKÓW.

Hej! ty Wisło, modra rzeko,
Pod lasem,
A mam ci ja pęk fujarek
Za pasem.
A jak ci ja na fujarce
Zagraję,
Usłyszy mnie moje dziewczę
O staje.
Nasza Wisła modra rzeka
Niby kwiat,

I płynie se het całko
W obcy świat.
I płynie se het daleko
Aż w morze,
Co tak czarne, niby rola
Mój Boże!
Hej dziewczyno, hej Halino,
Nie płacz mi,
Lecz oczkami niebieskiemi
Patrzaj mi,
Bo flisowie już wracają,
Waraha!
A echa wciąż powtarzają,
Waraha.

(Pierwszy, trzeci wiersz i t. d. śpiewa jeden, a chór powtarza drugi, czwarty n. p. Pod lasem, Za pasem i t. d.)

—ski.

Obłąkany monarcha.

(Do illustracyi.)

Wśród jubileuszowych uroczystości urządzonych w ostatnich czasach w Bawaryi na cześć regenta Luitpolda, zapomniano o królu bawarskim Ottonie, którego umysł od lat przeszło 20-tu jest zamroczony. Dawniej był on furyatem, ale obecnie szalone napady obłąkania już się nie ponawiają. W Fürstenried, gdzie król Otton przebywa, cicho jak w klasztorze. Chory monarcha siedzi całemi dniami u okna, paląc cygaro i nieustannie machając chustką; jedynem jego marzeniem jest wyjść z pałacu i parku. Wzbronionem mu to jest, gdyż podczas pewnej wy-



Król bawarski Otton.

cieczki król rzucił się nagle na kolana, wołając: „To jest mój raj, nie chcę zeń wychodzić!" Trzeba było użyć gwałtu, aby go z tych miejsc uprowadzić.

Robotnicy i służba zatrudniona w pałacu, otrzymali rozkaz, aby nie odpowiadali nigdy na zapytania króla i udawali, że go nie widzą, gdy przechodzi. Służbę sprawują przy nim: stary kamerdyner Vogele i czterech infirmerów. Obłąkany monarcha czuje wstręt do ubrania i często drze je na sobie. *—ski.*

Wiara.

Szaleje orkan, wrą odmęty,
Kłębi się wirów morskich piana,
A łódź rozbitka skołatana
Z wichrami toczy bój zawzięty.

Raz się na fali grzbiecie słania,
Potem w przepaści już, już ginie —
Lecz patrz: z topieli wnet wypłynie,
Jakoby symbol zmartwychwstania.

Z daleka widać szczyty skały,
Co śmiało pośród morza stoi,
Swej granitowej siłą zbroi
Roztrącająca wichrów szały.

Więc ku przemocnej tej opoce
Żeglarz ster swojej zwrócił barki,
A przez prąd fali porwan szparki,
W skalnej wnet znalazł się zatoce.

Z chyżością ptaka na urwiska
Wtargnął, zebrawszy sił ostatki,
I do opoki, jak do matki,
Tchnienia łaknącą pierś przyciska.

Ucichła burza. Z serca drżeniem
Wzrok szle rozbitek na wsze strony...
Płyną okręty — ocalony,
Błogiem powitał ląd westchnieniem.

. . . .

Twój to, wierząca obraz duszo,
I wszystkich w życiu burz rozpaczy!...
Niech on ci treścią swą tłómaczy,
Jak walczyć z klęską i katuszą.

Szczęsnaś, jeżeli szlakiem łaski
Wiosłujesz wprost do Krzyża skały,
Jeżeli cię zbłąkać nie zdołały
Manowców świata złudne blaski.

Krzyż, świadek twego z dolą boju,
Wyrwie cię z toni w prób godzinie
I korab losów twoich wpłynie
W port wieczystego dusz pokoju.

Ks. Wł. M. Dębicki.

Widoki z Chin.

(Do illustracyi).

II.

Przypływając od wschodu lub południa do Chin, oko podróżnego dostrzega nagłą zmianę w barwie wody, która traci swą zwykłą przejrzystość i tak jest pełna mułu, iż okręt zdaje się żeglować pośród niezmiernego błota.

Jestto znane Morze żółte, któremu przynoszą swą daninę dwie największe rzeki środkowego państwa: Jang-tse czyli rzeka błękitna i Ho-ang-ho czyli rzeka żółta. Pierwszą i ważniejszą jest Jang-tse; port Shang-hai leży przy wpadającej do niej rzece Wang-Pou.

W dalszym ciągu widoków z Chin zamieszczamy w dzisiejszym numerze krajobrazy z nad powyżej wzmiankowanej rzeki błękitnej (Jang-tse), mianowicie „Miasto na rzece Jang-tse", oraz „Widok z nad rzeki Jang-tse", a dalej „Warownię Ming-lu na granicy Mandżuryi". Jestto jedna z głównych twierdz w Chinach północnych.



Dygnitarz chiński.

Z typów chińskich zamieszczamy dzisiaj następujące ryciny: „wicekróla", „syna ks. Tuana ze swoją siostrą", „mandaryna", „żonę mandaryna", „dygnitarza", „uczonego" i „uczoną".

Zamieszczając typy chińskie, podajemy jednocześnie następującą krótką wzmiankę o obyczajach Chińczyków i formie rządu w Chinach.

Etykietalna powaga, pełna godności milcząca postawa, są według Chińczyka oznakami dobrego wychowania i głębokiej mądrości. Wszystkie czynności Chińczyka odbywają się według prawideł uświęconych tysiącoletniemi obyczajami. Dlatego naród chiński jest tak konserwatywnym i tak niechętnie przyjmuje wszelkie nowości. Strój chiński jest taki, jakim był od kilkunastu wieków. Stanowią go u znakomitszych suknie



Syn księcia Tuana ze swoją siostrą.

koloru jasnego (żółty kolor służy jedynie cesarzowi i książętom krwi), bogato haftowane złotem w smoki i inne fantastyczne postaci zwierząt. Czas, w którym należy zmieniać odzież zimową na letnią, oznacza naczelnik prowincyi, gdy on bowiem suknie zmieni, wszyscy powinni to samo robić. Mężczyźni mają kapelusze spiczaste z bambusu lub plecionej słomy z guzikiem na wierzchu, który oznacza rangę noszącej go osoby. Włosy golą, zostawiając tylko jeden, jak

można najdłuższy, warkocz, który troskliwie pielęgnują, a w razie koniecznym nawet sztucznym zastępują. Dziewczętom znakomitszych rodzin starają się zmniejszyć nogi i przez ściskanie ich niemiłosiernie je kaleczą. Życie familijne jest patrjarchalne, a głowa rodziny



Chińska uczona.

jest nieograniczonym jej panem. Kobiety, wyjąwszy matrony, obdarzone synami, bywają lekceważone. Kuchnia chińska jest bardzo oryginalna i przyrządza wiele pokarmów, o których my nie mamy wyobrażenia, lub nawet przejmujących nas wstrętem. Chińczycy lubią namiętnie gry, widowiska, uroczystości, procesye itd. Z powodu niemożności wychowania, często porzucają dzieci, a nawet topią je, szczególnie dziewczęta. Żałobę u nich stanowi kolor biały, a kiwnięcie głową oznacza przeczenie, gdy potrząśnięcie znaczy potwierdzenie.

Forma rządu w Chinach jest monarchiczno-nieograniczona, chociaż nie może być nazwana despotyczną, bo obyczaj, prawo i opinia publiczna stoją na straży samowoli monarchy. Monarcha nosi tytuł cesarza, syna nieba. Godność cesarska jest przeważnie dziedziczną w familji panującej, ale nie według prawa pierworodztwa, lecz według woli panującego monarchy, który jednemu ze swych synów, stósownie do swego uznania, tron zapewnić może. Na czele centralnego zarządu stoi gabinet, który, jak i wszystkie inne urzędy, składa się w połowie z Chińczyków, w połowie z Mandżurów, i jest głównym organem władzy wykonawczej; oprócz gabinetu jest ministeryum z 6 ministrów złożone i zarząd centralny, czuwający nad wszystkiemi innemi urzędami, a nawet nad cesarzem; jest więc rodzajem cenzury dostępnej dla każdego, nawet najuboższego Chińczyka. Całe państwo podzielone jest na 18 prowincyi, dzielących



Chiński uczony.

się znowu na obwody. Dostęp do urzędów dla każdego jest wolnym, i Chińczycy są pod tym względem wyżsi od Europejczyków, że nie mają szlachty rodowej; arystokracyę tworzą urzędnicy to jest uczeni, bo tam nauka, udowodniona egzaminami, nie zaś protekcya, daje prawo do urzędu. Stąd wykształcenie bardzo jest w Chinach rozpowszechnione; system ten jednak ma i swoje niedogodności, wykształcił on bowiem silną biurokracyę, pomimo której państwo w nienajlepszym, co do policyi, sądownictwa i administracyi zostaje stanie.

—ski.



Warownia Ming-lu, na granicy Mandżuryi.

Do kobiety.

Choć serca znęcisz krwawych ócz kry-
[ształem,
Lub je podeptasz czczej myśli suchością—
Nie będziesz jeszcze żywym ideałem,
Nie będziesz jeszcze niewieścią pięknoś-
[cią, —

Skromność bez wiedzy, lub rumiane lice,
Również się dzisiaj na mało przydały —
Nie być — lecz wyrość musisz na dzie-
[wicę,
Przechodząc zwolna świat ten bolu cały —

A gdy z twych natchnień, i mąk i łez
[mnóstwa
Wybłyśnie w końcu święty promień
[Bóstwa
I twarz ci zleje światłem wiecznotrwałem;

Gdy na twem bladem marmurowem czole
W wieniec się mocy splotą życia bole:
Wtedyś pięknością, wtedyś Ideałem!

Zygmunt Krasinski.

Maszyna do obrabiania kartofli.

(Do illustracyi.)

W gospodarstwie rolnem praca rąk coraz bardziej ustępuje pracy maszynowej. Co prawda, praca maszynowa nie jest tak dokladną jak ręczna,



Wicekról chiński.

ale szybciej się wykonywa i znacznie jest tańszą. Gdzie więc skutkiem braku czasu lub robotnika praca ręczna staje się zbyt drogą i nie opłaca się rolnikowi, tam maszyna coraz większe znajduje zastosowanie. Dzieje się to głównie we Francyi i w Niemczech.

U nas maszyny rolnicze używane bywają tylko w wielkich gospodarstwach i to nie zawsze i nie wszędzie; do-

piero w ostatnich czasach, gdy coraz dotkliwiej daje się odczuwać brak rąk do pracy, maszyny zaczynają znajdywać chętnych nabywców.

Fabrykanci maszyn dążą obecnie usilnie do tego, aby maszyna mogła być pożyteczną i w małych gospodarstwach. Coraz też nowe pojawiają się przyrządy. Do takich np. należy zbudowana przez mechanika francuzkiego p. Gajaca „kartoflarka." Maszyna ta służy równocześnie do sadzenia ,pielenia, okopywania i do kopania kartofli. Naturalnie, do każdej z tych czynności trzeba ją odpowiednio przyrządzić.

„Kartoflarka" p. Gajaca jest to wózek żelazny na czterech kołach; do zaprzęgania w konia lub wołu. Do sadzenia kartofli ustawia się na wózku odpowiednie pudło, z którego kartofle, przyrządzone do sadzenia, wypadają w żądanej od siebie odległości do dołków, wykopywanych przez umieszczoną pod spodem łopatę. Równocześnie, dwie mniejsze łopatki, z tyłu wózka umieszczone, narzucają ziemię na wypuszczoną z pudła sadzonkę. Robota idzie bardzo szybko i wykonywana jest z wielką doskonałością.



Mandaryn chiński.

Do pielenia odejmuje się koła tylne od wózka, a zakłada noże odpowiednie, jak to przedstawia fig. 2 na załączonym rysunku. Do okopywania zakłada się duży nóż, rodzaj pługa, który da się doskonale regulować na żądaną głębokość. Oddzielny znów przyrząd służy do wykopywania kartofli.

Nie widzieliśmy wprawdzie maszyny tej przy robocie w polu, ale pisma francuzkie, z których wiadomość tę czerpiemy, nie mają dosyć słów pochwały dla tej maszyny, niewielkiej, niekosztownej a bardzo pożytecznej.

Z.



Miasto na rzece Jang-tse.

Z motywów wiejskich.

Pod wysokiem urwiskiem płynęła bystra rzeka, zlewała swe niebieskawe wody na młyn i szeroką ławą z głośnym hałaśliwym szumem spadała w głąb między wysokie brzegi, porosłe olszyną. Z jej potężnym oddechem łączył się turkot młyna o poczerniałych ścianach, chylących się ku wiejskiej drodze. Za młynem i rzeką na falistej wyniosłości rósł las złotych kłosów. W odblaskach zachodzącego słońca łany zbóż pochylały się miarowym uroczystym ruchem, jakby żegnając wspaniałe purpurowe światło. Od rzeki powiał wiatr. Liście olch wyszeptały jakąś skargę rzewną, delikatne, wysmukłe gałązki brzóz, otaczające białą drogę, zaszumiały tajemniczo. Nawet drobne trawy na łąkach tuliły się do ziemi, żegnając ze smutkiem źródło wszechżycia.
Z ciemniejących błękitów spłynęła na zboża jakaś szara przędza, otuliła je do snu. Trawy łąk pociemniały wilgocią rosy.

Rzeka stała się czarną. Olchy splotły się uściskiem i, jak korowód smutnych cieniów, stały zadumane: Z pola płynął dźwięczny głos dziewczęcy:

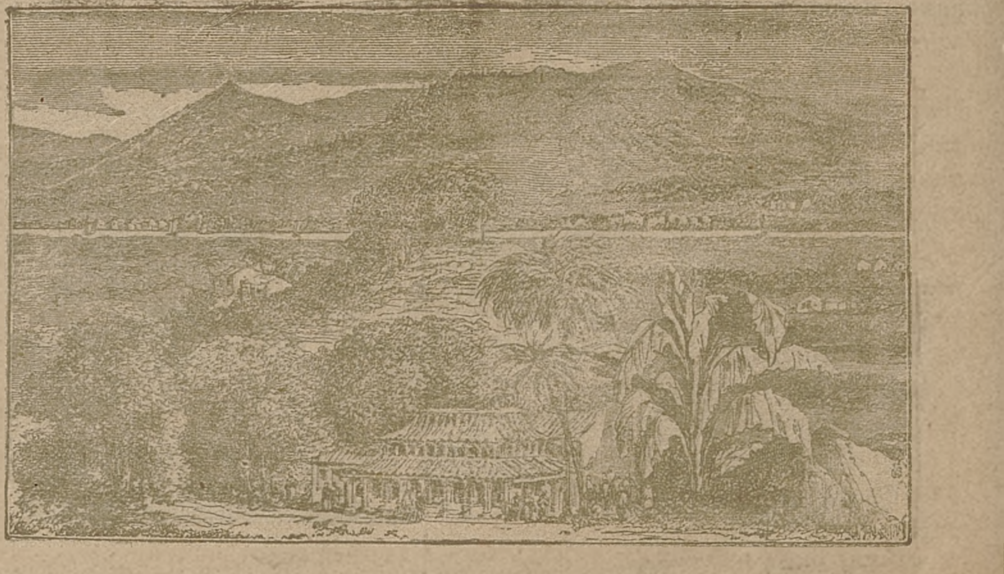
Przyjechali kapelanci z wojny,
Pytali o nocleg spokojny.

Piosnka wzniosła się ku pociemniałym błękitom. Gwiazdy zamigotały z radości. Księżyc rzucił pierwsze smugi srebrnego światła. Na świecie stało się jasno. Piosnka zdawała się płynąć ku srebrnej drodze na rzece:

I znaleźli kwaterę spokojną,
Pytali się o dziewczynę strojną.



Kobieta chińska, żona mandaryna.



Widok z nad rzeki Jang-tse.

Nie widzieliście jej to ta w polu?
Wybierała pszeniczkę z kąkolu.

Przez mostek na rzece przebiegła dziewczyna w chuście na białą drogę, na szczyt urwiska, do chaty.

Chata panowała nad całą okolicą wybielonemi ścianiami, poszyciem ze słomy zczerniałem od deszczów i słot patrzyła źrenicami dwóch niewielkich szklanych okienek na pola. W jednem z nich błyszczał promyk światła. Dziewczyna szła wolno. Usiłowała dojrzeć kogoś we wnętrzu izby. Znów zadźwięczała piosnka:

Widzieliśmy na jej głowie wianek,
Myśleliśmy, że krakowski zamek.
Pani matka po córkę posłała,
Żeby przyszła, gości przywitała.

Drzwi chaty otwarły się. Na progu ukazała się kobieta, rękę podniosła nad czołem i poznawszy dziewczynę, zawołała:

— Cichoj, Hanusiu, ojciec chory.

Ach — westchnęła dziewczyna — ojciec ciągiem chory.

Czerwona chusta opadła na jej szyję. Włosy spadały na skronie, jak dwa skrzydła krucze. Z tyłu głowy były zaplecione na drobne warkoczyki. Była bardzo ładna. Z oczyma gorejącemi życiem lat ośmnastu pochyliła się ku matce i pytała:

— Matuleńku — Jaśka niema?

— Niema, Hanka.

— Byłam u Bońców. Mówili, że pojechał na jarmark, utrapieniec nie wraca. Ach, kiejże moje weselisko. Ojciec ciągiem chory. Ale — opowiadała dalej Hanka — matulu, cości wam powiem...

Brat Antek wrócił z haresztu... W jednej parciance, bez grosza przy duszy. Bidak, nieborak. Nie ma się gdzie podziać. Trza mu ziemniaków. Gadziny niema czem wyżywić.

— O, Jezusiczku miłosierny — mówiła zdyszanym głosem matka, — O, Jezusiczku miłosierny...

W jasności księżycowej, w której tonęła teraz chata, Hanka widziała, jak usta matki chciały pytać o coś więcej, lecz drżały tylko zbielałe.

— Matuleńku — zawołała pieszczotliwie — nie trapcie się. Antek nie taki już, kiej latoś. Zbidzony nieborak. Tylko oczy błyszczą, kiej w gorączce.

Schwyciła żylastą grubą, spracowaną, opaloną rękę matki i pocałowała.

— Matuleńku, nie trapcie się. Dajcie na inszę. Antek przebłaga ojca. Zgoda będzie...

Umilkła, bo drzwiami chaty szarpnięto niecierpliwie. Na glinianej podłodze sieni stał człowiek, odziany w długą, białą sukmanę.

— A wracajcie ino do izby. Mleko trza uwarzyć.

Usiadł na progu i oddychał ciężko. Rozwarł sukmanę i wykrzywionemi wargami pił chłód nocny.

Żaby rechotały przeciągle na poblizkiej łące. Młyn terkotał. Rzeka szumiała.

Kurbiel oparł głowę o oddrzwia, przymknął oczy. Zdawał się drzemać.

Kurbielowa i Hanusia nie domyśliły się, że usłyszał przypadkiem pod drzwiami opowiadanie Hanusi.

Wrócił z haresztu. Ha, dolo nieszczęśliwa. Siedział trzy miesiące za pobicie własnego ojca. Antek pijany, w swarze z ojcem, chwycił go za bary i pchnął. Padł na pierś i uderzył o róg skrzyni, co stała na środku izby.



Nowy przyrząd do obrabiania kartofli.

Aż w piersi coś zajęczało, a krew pokazała się na wargach. Od tego czasu Piotr Kurbiel niedomaga, opuszcza się w gospodarstwie, nie haruje, jak dawniej.

Harowałem ci ja — myśli — zabiegałem, składałem grosz do grosza. Myślałem, że Antek będzie także zabiegał, gospodarzył, harował, przysparzał gruntu, gadziny, wszelakiego dobra. A Antek biegał sobie hań, za zielone pole, hań za granicę. Wracał z pieniędzmi. Myślałem, że wystawi nową stodołę, jak syn sprawiedliwy, posłuszny, miłujący ojców. Kaj tam, Antek pijak, pijak.

Czuje, że znów w piersiach coś go dławi, kaszel wybucha ze zdwojoną siłą.

Ha, nieszczęśnik, bił własnego ojca.

Nie dostanie on teraz nic, ani krztyny gruntu, ani jednej jałówki.

Niech haruje... na granicy. A jak będzie śmiał przyjść i upominać się, to dostanie...

Stary zerwał się z proga, powlókł do obory, wyszukał w ciemności widły stojące przy ścianie, powrócił chyłkiem i ukrył je w ciemnej sieni.

Czyn ten uspokoił go nieco; suwając się śpieszniej, raźniej, wszedł do izby.

Na polach powionął jakiś smutek.

Srebrny księżyc, jak gdyby przerażony okropnościami tego ustronia, zda się tak spokojnego, pogrążonego w orzeźwiającym, krzepiącym śnie nocy letniej, skrył się za ciemną chmurę, co nadbiegała i całunem pokrywała ciemny błękit niebios. Gwiazdy nikły, gaszone tajemniczą siłą, jak promyki dobrych myśli i uczuć ludzkich, tłumione przez złych ludzi. W izbie Kurbiela migotało słabe światełko lampki. Pod szeregiem obrazów, pokrywających całą górną część białej ściany spała Hanusia obok matki. Sen miała spokojny, łagodny, bo gdy światełko lampki zadrżało silniej, widać było jej twarz uśmiechniętą. Usta rozchylały się i półgłosem mówiły:

— Zgoda będzie, matuleńku, zgoda!... — Wieś wydawała się uśpiona, ale nie wszyscy w niej spali. W chatach było ciemno, głucho; niekiedy tylko pies zaszczekał przez sen, widząc niewidzialnego nieprzyjaciela. Na krańcu wsi, nad samą rzeczką, w ostatniej chacie oddalonej o staję, od innych, świeciło się. Za okienkiem przesłoniętem szmatą kolorową kręciły się postacie ludzkie, słychać było głosy.

— Kurbiel, Kurbiel, cicho — wyrzekł jeden głos. — Zgaś światło.

Antek Kurbiel, chłop rosły, bosy, w parcianych spodniach i bluzie, o twarzy wybladłej, na której znać było więzienną karę, podszedł do okna i wyjrzał. Na dworze było coraz ciemniej. Od rzeki wstawał ciemny tuman i szedł hań daleko za pola, ku granicy. Oczy Antka zabłyszczały. Zaśmiał się głośniej i wyrzekł:

— Taka noc, to kiej najlepszy przyjaciel.

Zasłonił całe okno szmatą. Wówczas w chacie poczęła się gorączkowa czynność. Kilkanaście postaci ludzkich pozamieniały się w jakieś bezkształtne bryły, obwieszone, obwiązane różnemi towarami.

Światło zagasło. Wkrótce te postacie roztopiły się w ciemnościach nocnych.

Stary Kurbiel nie spał. Postać Antka stawała mu przed oczyma, jak gdyby żywa. Zrywał się i szeptał pacierz. Na dnie duszy stała nikła iskierka przebaczenia, lecz gniew zatapiał ją burzliwą falą. Pójdzie jutro do księdza proboszcza, poradzić się na

to utrapienie, na tę mękę serdeczną. Ta myśl w końcu owładnęła jego zmęczonym umysłem. Czekał świtu, czując, że ta ciemność i pustka są dlań jak zmora.

Kontrabandziści szli w milczeniu, tłumiąc oddechy. Zeszli na sam brzeg rzeki i ostrożnie, omijając kamienie gęsto rozsiane, dążyli ku granicy. Szli gęsiego, dotykali drzew nadrzecznych, głazów, kierowali się pluskiem fal pieniących się w kamienistem łożysku. Noc ciemna była ich opiekunką, a szmer wodny przewodnikiem. Na zakręcie rzeki oczekiwała ich niebezpieczna przeprawa przez wązką kładkę, potem jeszcze niebezpieczniejsza droga obok posterunku. Tam muszą czołgać się jak wyżły. Antek ufał swemu doświadczeniu. Alboż to raz życie jego wisiało na włosku, a on dumny, odważny, przemykał się, omijał straże. Nie bał się. Szedł pierwszy. Gdy usłyszał jaki niebezpieczny szelest, stawał i chwytając towarzysza, idącego za nim, zatrzymywał cały pochód. Byli już przy kładce. Przeszli. Jeszcze krok do posterunku. Antek pochylił się w pół i nasłuchiwał z lekkiem biciem serca.

Zdradził ich nieostrożny krok jednego z ostatnich kontrabandzistów, który strącił go w rzekę i sam się stoczył. Schwycono go w porę, gdy już miał kryć się w fali.

Rozległ się groźny głos:

—Stój!... Kto idzie?

Milczenie. Potem kilkanaście głosów: —Stój! Strzelać będziemy.

Kontrabandziści stali niemi, jak drzewa przydrożne. Nieprzyjaciel znajdował się przed nimi. Jeżeli pozostaną tutaj, będą schwytani. Jeżeli odwrócą się do ucieczki, czeka ich śmierć od kuli. Wybrali ostatnie. Antek pierwszy skoczył na drogę. Za nim drugi, trzeci, dziesiąty. Rozległy się strzały, gniewne głosy, przekleństwa. Rzeka wydała kilka razy głośny plusk. Jedni uciekli, drudzy zostali: dosięgły ich kule.

Antek otrzymał postrzał w nogę. Leżał w krzaku, omal nie mdlejąc z bólu.

Jestem zgubiony — myślał. Za dwie godziny będzie świtanie. Chycą mnie i powiodą do kozy. Rany boskie!.. kara Boża!

O kilkanaście kroków przed nim żołnierze oświetlali drogę latarniami. Szukano w górze rzeki. Znaleziono kilku ranionych.

— Przyjdą zaraz do mnie. Zginąłem.

Żołnierze oddalili się ze swym łupem do posterunku.

Antek myślał ciągle:

— Kiedy mnie chycą?

Z wysiłkiem wielkim odwiązywał sznury, opasujące towary. Uwolniwszy się od tego brzemienia, kołysząc się, posuwał się ku rzece. Zanurzył w wodę nogę zbroczoną krwią. Ból zmniejszył się nieco.

Kozikiem, znalezionym w kieszeni, wyciął kawał szmaty i obwiązał przestrzeloną nogę.

Wówczas w jego umyśle zarysował się plan ratunku. Za nim, w dole rzeki, na falistej wyniosłości były pola jego ojca. Doczołga się do nich.

Upłynęła godzina. Był już wśród zbóż, bezpieczny od pogoni.

Minął pola starego Kurbiela i znalazł się nad brzegiem rzeki; w tem miejscu, gdzie tworzy zakręt, wśród którego leżały pola, a rzeka omywała urwisko.

Stary Kurbiel przed chatą oczekiwał świtu. Słyszał strzały. Stał na drodze nad urwiskiem.

Noc mijała. Na wschodzie słaby odbrzask walczył z ciemnością. Potężniał, zajmował coraz więcej miejsca w przestrzeni. Ciemność uciekała za chatę.

Stary rozejrzał się. Wprawnem okiem zobaczył czaty z jednej i drugiej strony jego zagrody, nad brzegiem rzeki. A przed sobą człowieka czołgającego się.

W samą porę — pomyślał stary. Gdyby było widniej, zobaczyliby go z łatwością i chwycili.

Jeszcze kilka kroków. Wczołga się między proso i będzie ocalony.

Antek podniósł głowę.

Jak gdyby iskra elektryczna przebiegła Kurbiela. Z ust zerwał się okrzyk:

— O la Boga! Antek!

Antek wracał do domu po przebaczenie. Nie przywiodła go tutaj własna chęć, skrucha, lecz los. Los — opiekun, czy mściciel.

Nie wiedział. Patrzył wytrwale, ostatnim wysiłkiem woli w oczy ojca i nie widział w nich nic. Były zbielałe, obumarłe. Wielkie oślapienie zasłoniło je mgłą. Stary Kurbiel doznał takiego samego wrażenia, jak podróżny, który, idąc drogą, ujrzy niespodzianie, że o krok dalej — przepaść. Serce Antka milczało. Spuścił oczy, słabł i omdlał.

Słońce wschodziło. Pod rannym chłodnym wiatrem zboża składały mu powitanie i hołdy. Skowronki wzbijały się wysoko nad polami. W różowych blaskach budzili się ludzie we wsi. Dziewczęta, barwnie ubrane, wychodziły z chat.

I Piotr Kurbiel obudził się do życia. W jego szarych oczach teraz malowała się litość.

Wszedł do izby i zawołał:

— Matka, Hanka, wstawajcie. Idźcie ino przed chatę. Zobaczycie kogości.

— Adyć Antek, nieborak. O Jezusiczku, Zamarł!

— Nie lamentujcie baby — krzyczał Kurbiel. — Kaj tam zamarł. Żyć będzie.

Kobiety wniosły do chaty Antka bladego, jak chusta. Hanka pobiegła na wieś do starej Bończowej, co umiała opatrywać rany i zażegnywać wszelkie choroby. A Piotr Kurbiel, chodząc po izbie, rzucał gniewne spojrzenia na syna i mruczał:

— Kiejś syn niesprawiedliwy, nieposłuszny, nie miłujący ojców, nie będziesz miał ani gruntu, ani gadziny, ani nawet zagona na ziemniaki.

Piotr Kurbiel obietnicy nie dotrzymał. W rok potem pracował razem z Antkiem w polu...

Wm. Mig.

Pieśń przy kaganku.

Już dawno trzecie kury odpiały,
Na dworze ciemno i słotno,
W lampce migocąc ogarek mały,
Oświetla izbę wilgotną.

Mroczno — cień długie rzuca załomy —
Na ścianach woda ocieka;
W kącie przetartej leży pęk słomy,
Ach! to mieszkanie człowieka!

Pod oknem postać jakaś schylona
Nad płótnem blada jak płótno,
Piosnka poczęta na ustach kona,
Straszno, boleśnie i smutno.

W skostniałych palcach igła migota,
Źle patrzeć przez oczy łzawe! —
Więc też powoli idzie robota,
A dni tak ciężkie i krwawe!

O! prędzej, prędzej nitka się plącze,
A tu tak strasznie z tą nędzą,
Jeśli do jutra sukni nie skończę,
To mię z tej izby wypędzą!

Lecz cóż mi jęki, cóż płacz pomoże,
Z oczami trzeba z ostrożna,
Robota pilna, nawet mój Boże,
Popłakać nad nią nie można.

Snu ledwie parę godzin zostaje,
Do pracy budź się o świcie!
Aż serce pęka, aż pierś się kraje
Takież mój Boże to życie!

I znowu szyje pilna dziewczyna,
Jeno się miga robota,
I znowu jedna mija godzina,
Jutrzenka wschodzi już złota.

Jeszcze ścieg jeden ręki dołożę,
Głowa na chwilę choć zaśnie!
Jeszcze ścieg jeden! — a wtem, o Boże!
Ogarek u lampki gaśnie!

Jęknęła biedna — chce wstrzymać ręką,
Tchu w piersiach więcej nie stało!
Słonko ciekawie patrzy w okienko —
Ale już dziewczę nie wstało.

Wł. Bełza.

Rogieluk.

Monolog starego stangreta.

— Oj Rogieluk, Rogieluk, jakiby z ciebie koń setny mógł być, żebyś ty, marcho, jeno krzyneczkę posłuchania miał w sobie!

(Wydobywa z zanadrza butelkę gorzałki, pije, a potem spluwa na bok).

Rogieluk — eee! Cegój ty tak kopytem walisz w podłogę? Pod ziemią się chcesz zaryć — hę?

Musi cni mu się, czy co takiego. Burcy w nim gorącość ze krwi, robi, i bez to mu stanie nie lubuje. Zwyczajnie, nie żaden prosty kóń. Jabym jego wyrychtował na frontowego konia aż miło. Oho, przebierałby nóżkami, minowałby główką — kieb warsiawska panna! Ale czy ja tu teraz w stajni co znaczę? Czy tu kto uzna jaki mój porządek? „Stary pijus!“ — powiedają i kwita.

Inaksza moda nastała: Sprowadzili se miastowego stangreta; na gwałt im się zachciało takiego, co wąsy goli i w rękawicach na kożle siada. Ón niby będzie perfony pijał, nie gorzałkę! Niech im wonia!

Trzydzieścim lat i sześć powoził swego starego hrabiego i dobrze było. Teraz mię zaś oto w kąt cisnęli, jak starą drapakę-pomietło, co się już na nic nie godzi. Niechże-ta, niechże-ta!

Ha, cóż nie mieli cisnąć, kiej hrabianka ato wyszła za ów-tego pana barana, czy jak mu tam. Póno on Miemiec, Frajcuz, czyli też inszy odmieniec, niektórzy pedają, co jest wychrzta z prostych handlerzy. Cóż za dziwota, że taki chce na swoję modę sycko u nas poprzekabacać?

Ogromna pociecha z takiego pana, uśmiać się można, choć on ta ludziom dopieka i psoty im niemałe robi. To jedno mi dziwne, że stary hrabia, pan taki herny, a pozwala ónemu pokrace na różne cudaczne rzeczy: już mu pewnikiem spuścił pałac i całe dziedzictwo. Aż mi się we łbie przewraca z tego wszystkiego. Oj strasznie mi się widzi opacznie słuchać, kiej ów-ten nowak rozkazy daje! Zawiózłem ja go był kiejsik do Kielc, to mi przez całą drogę dziesiętował: „Nie strzelaj z bicza!“ Nie mogłem wytrzymać, jakom naoczny, i strzelałem. Uraził za to na mnie pewnikiem, że niby posłuchanie moje jest kiepskie, i zaraz mi zechciał dokuczyć. Prowadzi on mię tam obces do jednego felciera i powiada: „Słuchaj-no ty, jak chcesz u mnie służyć, musisz się koniecznie przebrać, a te wąsiska paskudne zgolić!“ — „Oo — źle!“ — myślę sobie i ozwę się do niego z pokorą: — „Jaśnie panie, dyć ta moja kapota jeszcze niczego, płaszcz jacy na pelerynie odrobinę wypłowiał, wąsy zaś moje bez mała pięćdziesiąt lat mają!..“ — „Taka moja wola! — krzyknął i zaczerwienił się ze złości. — Siadaj tu zaraz, bo cię powinni tak ogolić, jak ja przykazuję!“

Zdjął mnie strach czegosik, ale nic; siadłem se tam na stołku, czekam, co dalej. Choć ón nie swojski ślachcic, zawdyć to pan, chleb daje, płaci, a ja przy nim — sługa, mizerak.

W te pędy przyskoczył śwarny taki chłopaczek i — trzask-prask — pędzlem mi galanto namydlił całusienką gębę. No, dobrze, ja precz siedzę — cóżem miał robić? Jeno, kiejem już poczuł, co te moje siwe wąsiska chrzęszczą, nie przymierzający jak trzcina pod kosą, takem na żaden sposób nie mógł żałości w sobie strzymać. Jak też nie ryknę w nieboglosy, Panie święty, a łzy mi z oczu siurczkiem puściły! Okrutnie się widać wyląkł tamten felcier, bo mu aż brzytwa z ręki na ziemię wypadła. Wteuczas, niewiele myśląc, zerwałem się ze stołka i jak byłem: z białą chustą pod brodą, bez kaszkieta — buch we drzwi, tyla śkło w szybach zafurczało. Gnałem tak ulicą, Najświętsza Panno, jażem się w stajni przy koniach oparł i dopierom se gębę upapraną w tych mydlinach otarł. Od tego czasu — niełaska pańska, ognia rzuć! Bez mała mu wątroba przez gardziel nie wyńdzie, a siła razy do mnie przemówi, zawdy mnie zdurnia jak ostatniego.

Rogieluk, czegóż się ty znowu na mnie oglądasz? Nie wiesz tego, ladaco jeden, żem ja tu teraz w stajni nic a nic nie mocen? Żebym ja im się nie wiem jak przysposabiał, i tak będę wzgardzony!

(Dobywa z zanadrza butelkę, wyciąga z niej mocno zasadzony korek zębami, pije, aż mu w gardle słychać połykanie, potem się otrząsa).

Dobrze byłoby kónika na lince przepędzić, niechby się przewietrzył kóli lepszego zdrowia! Jeno tamten nowy śtangret zarazby poszedł do dwora ze skargą, że ja tu bez jego pozwolenia rządzę.... Gdzie znowu stangretem, jak się patrzy, może być taki, co ma na imię Apolinary! Przeciem ja też człowiek nie dzisiejszy, a jeszczem tego nigdy nie słychał. Apolinary, Apolinary — o rany boskie! (Śmieje się). I skąd oni też takiego cudaka wytrzasnęli?

Toć kiej ten lala nasadzi se na łeb kapelusz, nikiej jakie wiaderko abo donica, a przyodzieje całe to pokraczne oblecenie, wtenczas o kęs mię kolka od śmiechu nie zeprze. (Śmieje się grubym głosem). Dyć ón łogawiec nawet porządnych butów z cholewami nie ma, żeby po ludzku obuć, tylo jakoweś krypcie czy trepy, a do tego se osobliwe łachy pod kolanami precz na świecące guzy spina i ludziom peda, że to są kamasie. O rety, tać człowiek może ze śmiechu trzasnąć!

Rogieluk, i czegoż się ty wiercisz, psia duszo? Znaj, hyclu, mores stajniowy, stój mi tu, jakby cię nie było! (Maca się i po chwili wydobywa butelkę, z której ciągnie, przymrużywszy oba oczy, potem spluwa po dwakroć).

Niedługuteńko nadeńdzie tu Apolinary i powie, że masz koler, że on takimi końmi nienauczny powozić. (Z oburzeniem i wzgardą mówi:) Żydowskie kozy, chłopskie świnie prawie jemu pasać, a nie furmanić! Gałgan, nicpoń, znarowił oto kónia i teraz peda, że ma koler! Śni ci się, zacieczony, wartogłowie! Juści, taki kóń napartliwy do biegu będzie ci miał koler! Taki ta z niego i stangret: chciałby, żeby kónie w zaprzęgu chodziły jak krowy. No, przecieć ten Rogieluk po Rogieli, po kobyle całą gębą, nie po żadnej wywłoce. Ojciec zaś jego był Dolop, jeneralski kóń, tę stajnięby przeskoczył, jakby do czego przyszło. I dziecko z takich ojców ma mieć koler — słyszał kto kiedy? Tyla, czy ja to jaki posłuch znajdę u państwa? Nie mnie wiara, jeno — Apolinaremu; niby chodzi o ten kieliszek gorzałki, że go sobie kiedy niekiedy użyję. Na Rogieluka znowu bez to zawziątek, że się raz rozbiegł, poniósł ich i do rowu wywalił — oo, wielgie rzeczy! Musiał, — bo na kożle nie było chłopa, jak przynależy. Ale się przecie nikomu nic złego nie stało, jacy ten-tam ich amerykan w drobniutkie trzaseczki poszedł... Oj żeby tak kóń miał człeczy rozum, a tego hycla Apolinara uczciwie był uszlachcił! Cóż kiej go jeno w blocisku należycie zciarał.

Rogieluk, sobako jedna, będziesz mi tu uszy stulał na staniu? Słyszysz... — eee, pókim dobry! (Tupie nogą.) Rogieluk, nie będzie z ciebie dwóch, tylko!... Moi ludzie, cie-wy, rży do mnie. Hm, co prawda, tom ja ciebie, zacieczony, wychował od maluśkiego źrebaczka — pamiętasz? (Wyjmuje z zanadrza butelkę, wstrząsa ją przegląda szkło pod światło, potem pije i ociera usta połą kapoty).

Musi koździuteńieczkie bydlę ma przywiązalość i uznaje takowego czleka, co je z małości karmił, żywił. Kajbym ja zaś miał wyrządzić krzywdę dziecku po Rogieli? Bógby mnie niechybnie ciężko pokarał za to. O, Rogiela była kobyła cnotliwości! Tenby pewnikiem i o niej pedział, że ma koler, że powozy potłucze, a państwo pozabija. Jucha — alegant, delikant, lizus! Na mnie, łajdus, z ozorem biega do dwora i podwodzi: kiejsik póno im pedział, żem ja ostatniego stopnia pijak. No, i nie łże gorzej psa, by się podlizać?... O, óni mi tego Rogieluka jak Amen w pacierzu zmarnują! Mój Boże, taki rzetelny koń i bez złość ludzką na psy pójdzie. (Wzdycha ciężko). Jednę tę jacy pociechę mam jeszcze na świecie i cóż.... Nieboszczka moja baba — świeć jej ta wiekuiste światło — już od dwudziestu lat w ziemi. Po niej zgasła mi jak świeca dzieucha, śliczniuśki mój kwiateczek, czyste malowanie... (Zaczyna się rozrzewniać). Zostałem się na tym świecie samusieńki jeden, jak palec. (Rozczula się i ostatnie słowa mówi nawpół ze szlochem, przytem ociera sobie oczy rękawem kapoty).

A teraz jedno z dwojga mię czeka: abo mnie óni ze służby wypędzą, albo Rogieluka wyrzucą ze stajni. Dosłużyłem się takowej łaskawości na starość. Niechże-ta! Rogieluk, nie kwicz, cichojże! Mówię ci, utrapieńcze, nie kwicz, bo mię aż coś zdziera! Ciarki po mnie przechodzą... Nijakiej pociechy niema na tym świecie. (Wydobywa butelkę, przymruża jedno oko i zamyślony spogląda na butelkę, łykając ślinę; potem łyka parę razy i chowa butelkę w zanadrze).

Tamten zasłyszy, że kwiczysz, i powie: „koler!“ Za to samo gotowi kónia ze stajni wyforować...

Mój stary hrabia już do niczego, całkiem skapsoniał: jakiś paralus tknął go póno, tak se jeno ciągiem siedzi we krześle i w głowie se myśli; ale się już nijak ruszać nie może. Musi w pałacu tam kożden, kto chce, za nos go wodzi. Chwat taki był do koni, do syćkego, i na to mu przyszło, mocny Boże! Do cna skapiał. Żebym ja go też jeszcze przed śmiercią zobaczył! Ej, óni go tu do mnie nie dopuszczą! Ta i lepiej, boby się biedak z wielkiego żalu chyba zarył pod ziemię. Gwałtu, co się tu u nas teraz dzieje! Parys ma zatret, Satanelę wypleczyli, Dyana dostała dychawicy, Irma ma opoje, Bajadera ściągła. (Chwyta się oburącz za głowę i przejęty zgrozą mówi dalej:) A ta młodzież, te źrebaki niebożęta, Chryste Panie, syćko będzie łykawe albo lizawe! Któż tu zaś dnia dzisiejszego ma o nich pamiętać? Na ten przykład ja często gęsto co powiem, doradzę — groch na ścianę, rychtyk jakby na psie przyleciał.

Ale niechno się mój stary hrabia raz dźwignie z niemocy, a krzyknie na mnie od ganku: „Matus, Matus, siodłaj mi Sułtana, a sam siadaj na Rogieluka, pojedziemy z chartami na lisa!“ Wie ón dobrze, że na Rogieluku niktby się inny nie utrzymał... Oj, skroilibyśmy im dopiero kurtę, zrobiłoby się tu w stajni porządek!

Rogieluk, czegójż się ty, bezskurcyo, wspinasz? Po powale, czy po powietrzu chcesz chodzić? Mało ci mieśca w klatce? (Wyciąga z zanadrza butelkę i wysącza z niej resztki. Teraz, mówiąc, zatacza się to na prawo, to na lewo).

Pięć latek se skończył w zapusty... Bo óni wiedzą, co to koler? Dałby ón wam sytkim, żeby miał koler! Cie-wy, u Rogieluka koler! (Uśmiecha się szyderczo).

Nie widzita zaś, złodziejskie portrety, że koń zdrów jak byk, tyla ma w sobie straszeczny ogień, i że na mieścu dostać nie może, bo go aż ponosi... Choć ón se powierzguje, kwiczy i kąsa, to jeszcze i tak nie koler. (Z wielkim zapałem mówi:) Dajcie-no mi tego kónika do garści, niech jego z Gorgoną sprzęgę i w lejc wypuszczę, a z bicza im nade łbami trzy razy wypalę: paf, paf, paf!... Jazdaa!... Żeby siarczyste pioruny z nieba waliły, to mi rady nie dadzą!

W Rogielkę akurat się wdał, w matusię swoję, — rychtyczek takusieńki sam, jak óna: skaro-gniady, jabłkowity — wykapany Rogieluk! Choćbym nie wiedział, czyje to dziecko i takbym w te pędy poznał. Chcą, żeby syn nie miał ognia, kiej go matka miała, była nie przymierzając jak płomień. W lejc, we front takie konie, (zapała się nadzwyczajnie i wyobraża sobie, że powozi), a mnie sadzajcie na kożle, dopiero zobaczycie! (Cmoka ustami dwukrotnie). Frygi moje, matka z synem! (Ręką wykonywa ruch, jakby z bicza strzelał). Paf, paf, paf! (Wyobraża sobie, że konie ponoszą i przechyla się w tył nieco, aby je powstrzymać). Co? Jabym was nie utrzymał? Hoch-ho, hoch-ho! (Znowu cmoka i z bicza rzekomo strzela). Paf, paf, paf! Jazdaa! Jazdaa!

(Sięga ręką w zanadrze, a nie znalazłszy butelki, spogląda wzrokiem zawiedzionego na próżną).

Kiej Apolinary powie: — „Rogieluk ma koler“ — to, jak Bóg w niebie, wyprowadzą mi kónia na pierwszy lepszy jarmark i za cobądź sprzedadzą. Kiej sobie pomyślę, aż mi się coś dziwnego dzieje. Ee, i mnieby óni takoż stąd przepędzili, tyla że stary hrabia jeszcze żyje i musi czasem się ieli o mnie pyta: „A co tam mój stary Matus! Póki on żyw a zdrów, ja tu w pałacu spokojny o kónie!“ — Ci zaś pewnikiem łżą przed nim, powiedają mu, że Matus we wsyćko opływa... (Zamyśla się chwilę).

Trzydzieści i sześć lat przesłużyłem, a tak mię skarz, Panie Boże, jeślim kiedy zrobił kóniom tyle krzywdy, co czarnego za pazurem! (Wznosi w górę rękę).

Raz jeno jeden osobliwie na noclegu w austeryi, o styry mile od Warszawy, wypiłem ja se był nieźle na kuraż: chciałem pokazać, że siłą mogę. Licho mię jakieś widać zdurzyło, dosyć że — zamiast wleźć na spanie do powozu — wlazłem ja między kónie i zacząłem się po omacku na żłób wspinać. Wtenczas mię Dolop łabas za kark zębcami i rznął o ziemię, a nogami począł tratować, ażem do krzty wytrzeźwiał. Setny koń, jak smok!

Dopiero kiejem się też szczęśliwie z ziemi podniósł, jak go hamana nie zamaluję między ślepie raz, drugi, trzeci, — jak nie zacznę prać, grzmocić po gębie i kaj popadło!... No, ale na drugi dzień rano o małom się z żalu nie skręcił, jako koń precz miał okrutne znaki z tego pobicia... Ale bo też zębcami przejął mi na wylot obleczenie, a z grzbietu zdarł spory kawał skóry z ciałem. Nic ta nie wadzi, kiej zarosło. Śliczności był koń. (Znowu się zatacza i szuka butelki).

Rogieluk, masyno, wiesz-ty — ja jeden mam prawo do ciebie. Nikogo ty, chudziaku, drugiego nie masz już na świecie. Słuchaj, będziesz kóniem jak Bóg przykazał?... Rogieluk, Rogieluk! Ooo, jak mu się to ślepie do mnie wyiskrzyły! Poczuł, żem jest człowiek sprawiedliwa dusza. Własnym chlebem go wykarmiłem, od gębym se odjął, a jemu dawał. Matka się jeno oglądała i rżała z radości... Rogielka moja! Drugiej takiej kobyły nie będzie już na świecie... Skończyło się teraz — insza moda! Uprząż na konie, pożal się Boże, — lejce z białych nici, bo rzemień śmierdzi tym delikatom!... Przepadły na świecie kónie,

przepadli stangreci. Ostatni my, ja i Rogieluk: ón ma koler, a ja — pijak! Niechże ta!

Tu jest sprawiedliwość — tfu! Człowiek bez kieliszka gorzałki co za stangret — hę? Koń bez ognia — to samo z przeproszeniem, co świnia. Ho, ho, niedoczekanie wasze, żebym ja się odrzekł i nie wypił swego! (Zapala się gniewem i mówi dalej:) Żebyście wy mnie posiekali na kiełbasę, a sami na łbach stawali, to ja wypić muszę! Jużci mam prawo podług kóżdej sprawiedliwości, jakom powinien mieć ogień na równi z tymi kóńmi, co nimi powożę! Ja wam nie będę siedział na koźle, jak malowana lala! Do dyszla taki stangret, co na fantazyją nie wypił! Ale ja, ostatni na świecie stangret, wypiłem i jadę! Paf, paf, paf! Jazdaa!

(Zamierza się, naśladując ruch trzaskania z bicza i przysiada na ziemi).

Rogieluk, rwij! (Cmoka ustami:) Świat cały przejedziemy — Rogieluk, jazdaa! (Głowa mu opada, oczy się zamykają — usypia, bełkocąc:) Rogieluk, jazda-a!...

Adolf Dygasiński.

Wiązanie Anielce.

Anielko, aniele! w marzenia ogrodzie
Zrywane przynoszę ci kwiaty,
Zakwitły w mych uczuć i myśli pogodzie
Tak jasne jak ócz twych bławaty.

Znasz różę, co piersią rozkwita do słońca,
Westchnieniem poranku zbudzona,
Jak ona, tak zawsze bądź świeża, kwitnąca,
Lecz nie rań, nie więdnij jak ona!

Znasz lilję, jej kielich śnieżystej białości,
I wdzięku i woni ma wiele,
Dlatego ją kwiatem nazwano czystości,
Bądź lilją Anielko, aniele!

Fijołek się kryje na trawek kobiercu,
Lecz malca wynajdą po woni;
Ty skromność fijołka zachowej w twem sercu,
Przed burzą cię trawka zasłoni!

O! z temi kwiatami jak z wiarą, nadzieją,
Przepłyniesz po wirach i głębi;
Ni lato upałem, ni jesień zawieją,
Tych kwiatów nie spali, nie zziębi.

Po naszej to drogiej rozsianej ziemicy,
Tych kwiatów cudownych nasiona,
Niech dzisiaj ustroją skroń młodej dziewicy,
Niech pomni, że Polką zrodzona.

Niech... smutno!... łza padła na struny mej lutni,
Przebacz mi Anielko, aniele,
Twa Matka w mogile, i wszyscy tak smutni,
I kwiatów już dzisiaj nie wiele!...

E. Wasilewski.

SAMOCHÓD.

Na werendzie kawiarni siedzieli dwaj przyjaciele, żywą prowadząc rozmowę.

— Lucyanie! co tobie — mówił starszy Andrzej — dawno nie widziałem cię tak smutnym. Co ci się stało?

— Nie wiem, mój drogi... boję się czegoś...

— Co, ty się boisz?

— Tak, boję się, przeczuwam jakieś nieszczęście, a dlaczego, posłuchaj.

Przed dwoma tygodniami byłem u siebie na wsi w Wronowie. Dzień był bardzo ciepły, siedziałem w małym saloniku od dziedzińca. Znasz go... Kołysząc się w fotelu na biegunach, zdrzemnąłem się. Nagle doznałem uczucia, jakby lekki cień przesunął się przed mojemi oczami, tak, że musiałem podnieść powieki.

W dziedzińcu, pod mojem oknem, stał karawan, zaprzężony w dwa konie. Wstałem, żeby się lepiej przyjrzeć — nie myliłem się. Woźnica trzymał lejce. Widzę jeszcze przed sobą rysy tego człowieka — krzaczaste, czarne wąsy na płaskiej, trupio-bladej twarzy. Skinął na mnie, żebym wsiadał!...

— To straszne!

— Wiesz, że mam dosyć zimnej krwi; przyjrzałem mu się dokładnie, żeby się upewnić, czy nie śnię na jawie, potem zadzwoniłem na służącego i rzekłem mu: Wyjrzyj no na dziedziniec, zdaje mi się, że słyszałem turkot powozu. Służący wyjrzał. „Nie panie, nie ma nikogo w dziedzińcu.“ Służący wyszedł, ja przystąpiłem znowu do okna. Karawan stał jeszcze i znów blady woźnica skinął na mnie. Dzwonię raz drugi, wchodzi służący. „Mówię ci, że na dziedziniec zajechał jakiś powóz, wyjrzyj raz jeszcze.“ Mój Jan wygląda i powtarza swoje, że nie ma nikogo. Biorę go z sobą, wychodzę na podwórze — dziedziniec był pusty...

— Mój drogi, to jakieś złudzenie, nie masz się czem przejmować.

— Nie przejmuję się, lecz pomimo woli lękam się czegoś, i to mnie denerwuje. Właśnie chcę się rozerwać, zamówiłem przez telefon samochód, aby się przejechać. Stoi na ulicy. Może pojedziesz ze mną?

— Dokąd chcesz jechać?

— Do Stasia W., pod N. Pojedziesz?

— Z przyjemnością, dla twego towarzystwa.

Przyjaciele wyszli z kawiarni i wskoczyli do samochodu, który przy samym trotuarze jęczał pod naporem hamowanej siły; na koźle siedział mechanik sztywny i nieruchomy i odkręcał dźwignie, nie odwracając głowy.

Samochód zadrżał, zatrząsł się i posunął między gęste szeregi powozów, sapiąc z niezadowoleniem jak koń, zbyt silnie ściągany wędzidłem. Przelecieli szybko miasto i minęli przedmieście. Gdy wydostali się na szosę, samochód przyspieszył biegu i przestrzeń płynęła, jak woda, pod pneumatykami kół. Drzewa, strojne w latową zieleń, odbijały od bladego, białemi chmurkami przysłoniętego nieba.

Lucyan był zachwycony; miganie koron drzew sprawiało mu zawrót głowy. Uśmiechnięty powtarzał:

— Co za rozkoszna szybkość!

Andrzej zaś szeptał, podnosząc się z siedzenia;

— On jedzie stanowczo za prędko, łatwo o wypadek.

I zawołał na mechanika:

— Ostrożnie, wolniej!

Nie odwracając głowy, mechanik przyspieszył jeszcze. Lecieli jak wicher, wreszcie poczęli się niepokoić.

Wiatr zapierał im głos, zamykał usta. Mechanik nie słyszał ich wołania. Szybkość szalona nie pozwalała żadnemu z nich podnieść się na siedzeniu i sięgnąć ręką do kozła.

Maszyna drżała w najwyższem natężeniu, jęczała i sapała krótkim trzaskiem wybuchów. Metal, drzewo, nawet poduszki rozszalałego samochodu drżały, jakby w gwałtownej gorączce, a dwaj przyjaciele chwytali się poręczy, wyglądając pomocy. Wszystko się przed nimi mąciło. Z wołaniem o litość, krzykiem trwogi i klątwami przecinali powietrze.

Przed nimi ukazał się nagle wysoki pagórek. Odetchnęli nadzieją, że może stromy podjazd osłabi, wstrzyma ich szalony rozpęd.

Pokazali go sobie oczami, jako możliwość ocalenia, koniec trwogi i męki

W tej chwili mechanik, który dotąd siedział nieruchomy, odwrócił głowę, a Lucyan krzyknął głosem przerażającym:

— To woźnica od karawanu! Woźnica śmierci!

Oszalały z trwogi, przesadził drzwiczki i wyskoczył na drogę.

Samochód, jęcząc, zaczął zwalniać biegu i wreszcie stanął. Andrzej zerwał się z siedzenia i chwycił mechanika za kark, wołając:

— Zwaryowałeś, nędzniku jeden! Mój przyjaciel mógł się zabić...

Mechanik odparł przerażony:

— Ależ, panie, nie jechaliśmy jeszcze całą szybkością; sądziłem, że sprawię panom przyjemność!

— Czy nie słyszałeś, jak wołaliśmy, abyś zwolnił biegu?

— Nie, panie. Zdawało mi się przeciwnie, że panowie wołali ciągle: prędzej, prędzej!

Andrzej już nic nie mówił. Przejęty trwogą, wywołaną ręką przeznaczenia, spojrzał na człowieka, tak bardzo podobnego do posępnego woźnicy w dziwnem widzeniu, o którem Lucjan opowiadał.

Zbiegł szybko z pagórka i podążył do miejsca, w którem Lucjan wyskoczył.

Z przyjaciela pozostała tylko martwa, skrwawiona bryła, zwłoki, po które przyjeżdżał blady woźnica. *K. P.*

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

20) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXXVI.

Szlachetne samobójstwo.

Podczas kiedy na wysokości czterech tysięcy stóp rozgrywał się ten straszny dramat, panowało w dolinie Chamouny nieopisane zamieszanie.

Jak zwykle, śledzono i tym razem za pomocą lunety i zauważono, że podróżni przeszli szczęśliwie les Grands Mulets, ale od tego miejsca było dalsze szukanie ich niemożliwem, i dopiero na szczycie Montblanc byłoby można znowu ich zobaczyć. Zanim jednak, podług obliczenia pana Balmata, doszli tak daleko, powstał ów wicher szalony i śnieżna zamieć uniemożliwiła wejście na szczyt lodowca.

Co się więc stało z podróżnymi?

Pytanie to dręczyło niezmiernie Balmata, to też na drugi dzień zaraz postanowił wysłać kilku doświadczonych przewodników na pomoc.

Ale burza szalała z taką gwałtownością, że nikt iść nie chciał na niechybną śmierć. Napróżno ofiarował Balmat wysokie nagrody, napróżno zaręczał, że i hrabina wynagrodzi hojnie tych, którzy jej życie ocalą, przewodnicy oświadczyli, że byłoby po prostu grzechem, iść w góry, że równałoby się to samobójstwu, i że życie milsze im, niż pieniądze.

Balmat, cieszący się wielkim szacunkiem i uznaniem wszystkich turystów europejskich, był w rozpaczy.

Sam nie mógł się udać na pomoc zagrożonym, bo był już stary, i reumatyczny ból w nogach nie pozwolił mu wiele chodzić po równej nawet drodze.

— O, gdybym był dwadzieścia lat młodszym, zawołał, załamując ręce, to nic w świecie nie powstrzymałoby mnie od wypełnienia mego obowiązku. Czworo ludzi w niebezpieczeństwie życia i nikt nie spieszy im na ratunek!!

Ale wyrzekania jego nic nie pomogły!

Oprócz Balmata znajdowała się we wsi jedna jeszcze osoba, która drżała o życie podróżnych, a tą była Dina, piękna służąca Ravanela.

Z początku nie miała ona pojęcia o niebezpieczeństwie, jakie groziło cesarzowej, nie znała Alp, i nie przypuszczała, aby ludzie, idący zdrowo i wesoło w góry w celu podziwiania cudów Boskich, nie mieli nigdy już wrócić!

Ale zaraz nazajutrz, gdy się we wsi zaczęli znajomi nad nią litować, że straciła tak dobrego pana, wtedy dopiero zrozumiała, co się tam, na lodowcach, dziać musiało, i co grozi hrabinie Hohenfels i jej odważnym towarzyszom.

I szalony strach ogarnął jej serce, i w pierwszej chwili chciała biegnąć do Balmata, aby mu powiedzieć, kim właściwie jest hrabina Hohenfels! Ale nie wiedząc, czy cesarzowa nie będzie się o to gniewać, postanowiła jeszcze dzień lub dwa zaczekać!

Trzeciego dnia nareszcie, gdy zawieja nie ustawała, poszła do pana Balmata.

Przełożony przewodników alpejskich przyjął ją bardzo uprzejmie.

— Wiem już, po co przychodzisz, moje dziecko, rzekł, wskazując jej krzesło, służysz u starego Ravanela i chciałabyś się dowiedzieć czegoś o nim! Ale niestety, nie mogę ci nic pocieszającego powiedzieć — wątpię, czy on lub syn jego i przyjaciel wrócą z tej wycieczki! Chyba, że Bóg cud ześle, na to musimy liczyć aż do ostatniej chwili! Podług mego zdania jednak — nie zobaczymy ich żywych!

— Wielki Boże! zawołała Dina blednąc, więc i — hrabina — Hohenfels jest straconą?

— Dlaczego by ona właśnie tworzyć miała wyjątek? rzekł Balmat z gorzkim uśmiechem. Czy myślisz, że orkan oszczędza hrabiów lub hrabiny, a zabija wieśniaków? Przestrzegałem ją dosyć, mówiłem, jakie niebezpieczeństwa jej tam grożą, ale nie chciała mnie słuchać! I tak zawiniła nietylko śmierć własną, ale nadto śmierć trzech dzielnych ludzi! Do tego stopnia była upartą, że nie wzięła nawet czwartego przewodnika! Wyznaczyłem jej Simona, ale krótko przed odejściem kazała mu powiedzieć, że zrzeka się wycieczki, i tym sposobem ocalał ten poczciwy człowiek!

— To nieprawda, zawołała Dina żywo. Ja sama byłam przytem, jak mężczyzna jakiś zbliżył się do niej i przedstawił się, jako szwagier Simona. Powiedział jej, że Simon zachorował nagle i dlatego iść nie może — on zatem chce go zastąpić. Hrabina przyjęła go!

— Dziwna rzecz, rzekł Balmat z niedowierzaniem. Simon wcale szwagra niema, wiem o tem napewno! I któż by się dobrowolnie narażał na takie niebezpieczeństwa? Dla przyjemności nikt się za przewodnika o tym czasie na Montblanc nie ofiaruje!

— Może być, ale wiem napewno, że tak było. Ów mężczyzna nazwał się Testa i był, jak mówił Włochem.

Hrabina poszła z nim, swoim służącym i dwoma Ravanelami.

— No, jeżeli nieznajomy chciał w ten sposób zwiedzić Montblanc, to oszczędność swoją przypłacił życiem. Bóg wie, w jakiej przepaści leży jego ciało!

Na te słowa zaczęła Dina głośno płakać i zerwała się z krzesła.

— Panie Balmat, szepnęła, — muszę panu wyjawić pewną tajemnicę....

— Cóż takiego?

— Wiesz pan, kto jest hrabina Hohenfels?

— Pewnie hrabiną Hohenfels!

— Nie, nie! Jest to Elżbieta, cesarzowa austryacka!

Balmat spojrzał na nią oburzony.

— Albo straciłaś zmysły, zawołał, albo pozwalasz sobie żartować ze mnie, co wcale nie jest stósownem!

— Przysięgam panu, że to prawda!

— Czy ona ci to sama powiedziała?

Balmat zawsze jeszcze nie dowierzał Dinie.

— Nie, nie powiedziała mi, szepnęła, ale ja wiem, ja znam cesarzową Elżbietę!

— Znasz ją, roześmiał się Balmat, to znaczy, że widziałaś obraz jej w rozmaitych ilustrowanych czasopismach! Przyznaję zresztą, że istnieje jakieś podobieństwo pomiędzy hrabiną a cesarzową, która nigdy by się nie odważyła na taką wycieczkę!

— Panie, krzyknęła Dina z rozpaczą, wierzaj mi, ja mówię prawdę! Znam cesarzową bardzo dobrze, i — jeżeli już muszę wszystko wyznać — rozmawiałam z nią bardzo często....

— Moje dziecko, wzruszenie pomięszało ci trochę w głowie! Nie wiesz co mówisz! Zkądżeby prosta służąca miała rozmawiać z cesarzową austryacką! Idź do domu i zrób sobie zimny okład na głowę!

Dina spuściła ręce i spojrzała z wyrzutem na Balmata.

— Odchodzę, rzekła, ale powtarzam panu jeszcze raz, że to jest cesarzowa. Obyś pan nie pożałował swego uporu! Może zdołałbyś teraz jeszcze uratować ją od śmierci!

Zrozpaczona wróciła Dina do domu, rozmyślając nieustannie o tem, w jaki sposób ocalić cesarzową, którą ubóstwiała. Ale sama, niestety, nic uczynić nie mogła!

Siedząc przy stole w gościnnym pokoju, usłyszała nagle pukanie do drzwi, i chociaż była zupełnie samą w domu, otworzyła je natychmiast.

Na progu stał młody, wysoki mężczyzna, cały okryty śniegiem, jak białym, lśniącym płaszczem.

— Moja panienko, rzekł zbliżając się do niej, przyjmij mnie, i daj mi jaki pokoik, chociażby najmniejszy! Byłem już w innych hotelach i gospodach, ale nigdzie miejsca nie było. Całe Chamouny podobno przepełnione podróżnymi, pokoje strasznie są drogie, a ja nie wiele mam pieniędzy!

— Wejdź pan, odpowiedziała Dina bez namysłu, byłoby grzechem zostawić kogoś w takiem powietrzu bez dachu. Dam panu pokoik — o cenę możesz się później z właścicielem samym rozmówić, jest to bardzo dobry i poczciwy człowiek! On za wiele nie żąda.

Nieznajomy odetchnął swobodniej i wszedł do sieni.

Niósł mały kuferek podróżny i na wezwanie Diny udał się za nią przedewszystkiem do kuchni, aby się trochę rozgrzać.

Ubranie jego było porządne, ale mocno już znoszone, twarz blada, otoczona ciemnemi włosami i wytworne ruchy zdradzały człowieka z najlepszego towarzystwa.

— Proszę pana o nazwisko, — rzekła teraz Dina. — Muszę je zameldować sołtysowi.

— Maksymilian Dorn, — odpowiedział gość.

— Zkąd pan przybywasz?

— Zkąd? O, zdalekich stron, z Rosyi, ale właściwie jestem Austryakiem!

— Austryakiem! — powtórzyła Dina zdumiona. — No, teraz pójdę czemprędzej do sołtysa, a pan zjedz tymczasem talerz ciepłej zupy. Zostawiam pana samego w domu, zdaje mi się, że mogę ci ufać!

— O, tak! Ja nikomu krzywdy nie wyrządzę!

Dina zarzuciła szal na głowę i wybiegła, Maksymilian zaś odsunął talerz z zupą i szybko zaczął się przechadzać po kuchni.

— Na co ja czekam, — myślał, wyjmując z kieszeni rewolwer. — Prosiłem o przyjęcie do tego domu, bo nie chcę jak pies umierać na polu! Muszę umrzeć! Nie mam ani grosza pieniędzy przy sobie i rozłączenie z Józefiną doprowadza mnie do szaleństwa! Bądź zdrowa, najdroższa moja, wybacz mi — ale ja dłużej żyć nie mogę!

Palce jego dotykały już morderczej broni, gdy nagle schwycił ktoś tak silnie jego rękę, że rewolwer upadł na ziemię.

Za nim stała Dina śmiertelnie przerażona.

— Co pan chciałeś uczynić? — zawołała bez tchu prawie. — Odebrać sobie życie? O, nieszczęśliwy! I po to przyszedłeś tu, do tego domu! Nie, nie, ja na to nie pozwolę! Przyrzeknij mi pan, że wyrzekniesz się tego strasznego zamiaru!

Maksymilian stał z spuszczoną głową i milczał.

— Czemu pan chciałeś popełnić samobójstwo? — zaczęła znowu Dina. — Jesteś młody i silny i musisz pracować. Komu Bóg dał zdrowie i siły, ten nie może rzucać życia, jak towaru bez wartości!

Mówiąc to, schyliła się szybko, podniosła rewolwer, i zanim Maksymilian zdołał przeszkodzić, wrzuciła go w beczkę wody. Tym sposobem stała się broń na razie nieużyteczną. —

— Co robisz! — zawołał Maksymilian, wyciągając ręce. — Pozbawiłaś mnie jednego sposobu skrócenia moich cierpień!

— Myślisz pan, że sam tylko cierpisz, i że nieszczęście upoważnia nas do odebrania sobie życia? Ach, i ja przeszłam już wiele — a pomimo to, nigdy o samobójstwie nie myślałam! Miej pan zaufanie do mnie, powiedz, co cię tak dręczy, może to ulży trochę twemu sercu!

Maksymilian złamany, przygnębiony, upadł na ławkę, i opowiedział Dinie całą historyą swego małżeństwa z Józefiną. Nie zataił nic, nie usiłował się wcale uniewinniać, a młoda kobieta słuchała go z natężoną uwagą, mianowicie, gdy zaczął mówić o cesarzowej.

— Opiekunka Józefiny, — tak kończył swoje opowiadanie, — jest tak wielką, tak potężną, że bez szemrania poddałem się jej woli!

— Musi to rzeczywiście być jakaś wyższa istota, jeżeli mężczyzna, oficer, słucha jej tak bezwarunkowo, — rzekła Dina.

Oczy Maksymiliana błysnęły najwyższem uniesieniem.

— Jest to kobieta, — zawołał, — przed którą wszyscy pochylić się powinni, bo nietylko, że stanowisko jej wymaga tego, ale dobroć serca, szlachetność, i wszelkie w ogóle przymioty stawiają ją wyżej po nad wszystkich ludzi w świecie! To anioł prawdziwy!

— A więc nie może to być nikt inny, — szepnęła Dina, — jak cesarzowa Elżbieta!

Maksymilian zdumiony spojrzał na nią.

— Zkąd pani wiesz o tem? — zawołał, dając jej mimowoli tytuł, należny kobietom z lepszego towarzystwa.

— Ale tak jest — nie będę zaprzeczał! To istotnie cesarzowa austryacka, szlachetna, wzniosła Elżbieta! Ona mnie ocaliła przed hańbą, ale równocześnie nałożyła na mnie pokutę, która mnie do rozpaczy doprowadza. Słuchaj pani, przez całe pięć lat nie wolno mi być razem z Józefiną — pod innem nazwiskiem tułam się po świecie, idę z miasta do miasta, jak gdyby mnie przekleństwo ścigało! Wszystko, co wezmę w rękę, zamienia się w złe dla mnie, nic mi się nie wiedzie — cóż mi więc pozostaje innego, jak zakończyć raz już to nędzne życie!

Dina zamyśliła się na chwilę, potem podniosła swe śliczne modre oczy na Maksymiliana, i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekła uroczyście:

— Panie Dorn! Przed chwilą przeszkodziłam ci w popełnieniu samobójstwa, a teraz widzę, że musisz sam siebie ukarać, że.....

— Ach, przekonałem panią! Więc oddaj mi mój rewolwer!

— Nie! Jeżeli pan chcesz koniecznie umrzeć, to dobrze — ale umrzyj w inny, lepszy sposób! Będziesz pan miał przynajmniej raz jeszcze sposobność okazania wdzięczności tej, którą tak bardzo szanujesz i uwielbiasz! Idź pan ze mną, nie mamy ani chwili do stracenia!

— Dokądże mnie pani chcesz zaprowadzić?

— Zobaczysz pan!

Piękna, złotowłosa służąca poszła naprzód, Maksymilian dziwnie wzruszony, postępował za nią. Na werandzie zatrzymali się oboje, i tutaj wskazała mu Dina niebotyczne wierzchołki lodowców, całe w śnieżnej mgle ukryte.

— Widzisz pan te groźne olbrzymy, — zawołała. — Możesz pojąć, że tam, w tej chwili błądzą ludzie?

— Owszem, pojąć mogę, — odrzekł Maksymilian, — ale muszą oni się znajdować w okropnem położeniu. Każdy, kto tam obecnie walczy z zawieją, jest bez ratunku zgubiony!

— O Boże! Tam są ludzie nieszczęśliwi, blizcy śmierci! Gdyby im kto na pomoc pospieszył...

— Na to nikt się nie odważy!

— Chciałeś pan sobie życie odebrać, czy nie lepiej byłoby je poświęcić dla ocalenia bliźnich?

— Ale nie w ten sposób! Kula — daje śmierć prędką — wyprawa w te góry, to męki bez końca. Nie jestem dosyć bohaterskim, aby się na taką śmierć zdecydować!

Dina podniosła głowę i uśmiechnęła się lekko.

— A pomimo to, — zawołała, — przysięgam panu, że za godzinę wybierzesz się na góry. Uczynisz to nawet, czego by żaden, najodważniejszy nawet mieszkaniec wsi nie uczynił, pójdziesz sam! sam! Potrzebuję ci tylko jedno imię powiedzieć — imię jednej kobiety, która się tam, pomiędzy tymi nieszczęśliwymi znajduje, a pobiegniesz natychmiast......

— Jakie imię? Jaka kobieta? — szepnął Maksymilian tknięty złowrogiem przeczuciem.

— Cesarzowa Elżbieta!

Maksymilian zadrżał.

— Powiedz mi prawdę! — wyjąkał złamanym głosem, — powiedz, czy rzeczywiście cesarzowa znajduje się w takiem niebezpieczeństwie?

— Przysięgam panu, że tak jest! Pod nazwiskiem hrabiny Hohenfels wybrała się na Montblanc!

— Kiedy?

— Przed trzema dniami. Powinna była wrócić już wczoraj, ale w tej zawieji grozi życiu jej największe niebezpieczeństwo! I nikt mi nie chce wierzyć, że to ona jest hrabiną Hohenfels!

— Myślisz, że znaleźliby się we wsi ludzie, którzy by poszli ze mną? Potrzeba mi dwóch tylko! Poszedłbym sam, ale nie uniosę toporów, sznurów i żywności.

— Dwóch pomocników, — powtórzyła Dina. — A więc trzeba nam szukać jednego tylko, drugi stoi tu przed panem!

— Co, pani?

— Tak, ja! Jestem dosyć silną i odważną! Ja pójdę z panem.

— A gdzie znajdziemy trzeciego towarzysza?

— Pójdę szukać i mam nadzieję, że znajdę go wkrótce. Wróć pan teraz do pokoju, ja zaś wybiorę się do wsi. Rewolweru nie użyjesz pan już pewnie, — rzekła z figlarnym uśmiechem.

— Nie, — zawołał Maksymilian z zapałem. — Wiem teraz, że życie moje musi być poświęcone wyższemu, szlachetniejszemu celowi!

Dina uścisnęła mu rękę, i nie tracąc czasu, pobiegła do chaty przewodnika Simona.

Był to jeden z najdzielniejszych i najpoczciwszych, ale zarazem najuboższych przewodników. Mając liczną rodzinę, nie mógł czasem zarobić tyle, aby wszystkich wyżywić, to też bywały dnie, w których tak on i ona jak i dzieci wie-

działy, co znaczy głód i nędza. Jego matka, stara, niewidoma kobieta mieszkała także u niego i to przysparzało mu niemało wydatków.

Do tego to Simona przyszła teraz Dina i zapukała do drzwi jego chaty.

— Ah, piękna Dina, — zawołał Simon. — Czy z dobrą przybywasz wiadomością? Wrócił Ravanel?

— Nie!

— Nic dziwnego! Było to do przewidzenia! Jak można było iść o tej porze na Montblanc?

— Przyszedłem do was, — zaczęła teraz Dina poważnie, — aby zapytać, — ale przedewszystkiem proszę o krótką odpowiedź tak albo nie. Bo nie mam czasu — i jeżeli nie wy, to inny przyjmie moją propozycą!

— O cóż to chodzi?

— Pewien cudzoziemiec, odważniejszy, niż wszyscy przewodnicy z Chamouny, chce iść na Montblanc, na pomoc nieszczęśliwej hrabinie Hohenfels i jej towarzyszom. Ale potrzeba mu kogoś do niesienia potrzebnych narzędzi. Chcecie iść z nim?

— Nie! — zawołała niewidoma, — syn mój nie pójdzie po śmierć w górach.

— Nie chódź, Simonie! — prosiła żona, składając ręce.

— Wiem, — rzekła znowu Dina, — że przedewszystkiem myślicie o waszej rodzinie. Tym razem nadarza wam się sposobność polepszenia jej losu! Jeżeli wrócicie szczęśliwie, będziecie mogli kupić sobie ładny dom, kilka krów i wychować porządnie wasze dzieci!

— A jeżeli nie wrócę?

— To tem więcej będą się inni opiekować naszemi dziećmi!

— Ile mi dasz — ty, albo inni?

— Chwilowo trzy tysiące franków!

Cała rodzina przewodnika osłupiała. Była to suma, o jakiej nikt tu nie marzył!

Ależ to majątek! — zawołał Simon. — Pójdę natychmiast! Jest to moim obowiązkiem — zapewnić dzieciom przyszłość! Kto mi wypłaci te pieniądze?

— Mnie dano polecenie, — rzekła Dina, wyjmując z kieszeni paczkę banknotów.

— Nie chódź Simonie! — błagała matka, — to złe kusi ciebie!

Simon rozśmiał się wesoło.

— Takie złe — podoba mi się! — zawołał, uderzając Dinę po ramieniu. — Znamy ją przecież wszyscy i wiemy, że to uczciwa i porządna dziewczyna! Dziś o pierwszej w nocy jestem koło waszego domu i — wyruszamy.

— Wiem, że dotrzymacie słowa i zobaczycie, że Bóg nam dopomoże. Wrócicie szczęśliwie do waszej rodziny i będziecie mieli to przeświadczenie, że wypełniliście sumiennie wasz obowiązek!

Po tych słowach pożegnała Dina przewodnika i poszła spiesznie do domu, gdzie Maksymilian niecierpliwie jej oczekiwał.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Pomoc zbliża się.

Na lodowcach noc zapadła, ciemna i zimna. Wicher zmniejszył się cokolwiek, tak, że nieszczęśliwi, ukryci w śniegu, mogli nazajutrz wyjść z białego grobu i wyprostować nieco skostniałe członki.

I znów wieczór nadchodził, i słońce chyliło się ku zachodowi, a widok ten był tak cudownie piękny, że cesarzowa nie mogła się nim nasycić.

— Chociażbyśmy mieli umrzeć w tejże chwili, — zawołała, — to możemy się jednak poszczycić tem, że widzieliśmy cuda, jakich nie każdemu śmiertelnikowi podziwiać wolno. Tak jak to słońce tam zachodzi, tak i my umrzemy — cicho — spokojnie —

Luigia Luccheni, stojąca za cesarzową, zaczęła nagle głośno płakać.

— Oddajcie mi moje dziecko, — zawołała z rozpaczą. — Ty słońce złote wiesz, gdzie mój Luigi! Ześlij jasne promienie do mego serca i powiedz mi, gdzie go mam szukać!

Słowa te były już nieco rozsądniejsze, bliskość ludzi uspokajała ją widocznie. Elżbieta zauważyła to, i łagodnemi pytaniami starała się wybadać ją, co się właściwie z dzieckiem jej stało.

— Wiesz przecież, że ja ci nic złego nie zrobię, — rzekła, biorąc jej rękę.

— Tak! Ty mnie żałujesz, bo wiesz, że ja byłam długo chorą na — zdaje mi się, że miałam pomieszanie zmysłów, ale nie pamiętam tego dokładnie. Od czasu do czasu choruję na to! Ale inaczej być nie może! On zanadto mnie męczył! Zanadto!

— Kto?

— Ojciec mego dziecka! Ożenił się ze mną, a potem powiedział mi, że ślub nasz, to była tylko komedya!

— Ah, to ten człowiek zdradził i opuścił was haniebnie!

Czarne oczy Ludwiki błysnęły nienawiścią.

— Tak! — zawołała. — Było to w Paryżu! Pojechałam tam z Włoch, zostawiłam narzeczonego, chciałam zarobić dużo pieniędzy i wrócić do niego...

— Jak się nazywał twój narzeczony?

— Tego nie powiem! Lepiej, że nazwisko jego zapomnę!

— U kogo byłaś w Paryżu?

— U markiza Laroche! On to ożenił się ze mną! Uwierzyłam mu! Ale gdy się urodził mój mały Luigi, wtedy nędznik ten wyznał mi, że ślub nasz jest nieważny i wypędził mnie! Wróciłam więc do domu — nad brzegiem rzeki, na skałach, spotkałam mego dawniejszego narzeczonego — i potem nie wiem już, co się ze mną stało. Obudziłam się w domu obłąkanych! Gdy wyzdrowiałam, pojechałam znowu do Paryża, do markiza Laroche, prosząc go, aby mi pomógł szukać dziecka. Markiz przyjął mnie bardzo uprzejmie, obiecał wszystko, czego żądałam, i namówił do występowania z nim w cyrku. Potrzebował pieniędzy, bo stracił cały swój majątek.... W cyrku o mało mnie nie zastrzelono.... I w końcu, widząc, że zbrzydłam, zostawił mnie w Niemczech bez grosza pieniędzy i uciekł! Tułałam się po rozmaitych krajach, szukając mego dziecka, i tak przybyłam tutaj!

Wszystko to mówiła Ludwika zupełnie rozsądnie, napad obłąkania minął teraz na pewien czas znowu.

Cesarzowa była głęboko wzruszona.

— Słuchaj, — rzekła, — jeżeli Bóg pozwoli nam szczęśliwie wrócić do domu, to ja ci pomogę w szukaniu twego dziecka. Zdaje się, że twój narzeczony wydarł ci je, myślę jednak, że nie zabił je, tylko dał komu na wychowanie, zapewne we Włoszech. Tam musisz szukać. Dam ci listy polecające, aby ci o ile możności wszystko ułatwić!

Ludwika pochyliła się, i ucałowała rękę cesarzowej.

— Jesteś pani bardzo dobrą, — szepnęła ze łzami w oczach, — i gdy pomyślę, że w mojem obłąkaniu taką ci krzywdę wyrządziłam, podpalając chatę...

— Cicho, cicho, nie myśl już o tem!

— O gdybym znalazła mego syna, to wychowałabym go na uczciwego człowieka! Całe życie musiałby pani być wdzięcznym za tyle łaski i dobroci!

Dzisiaj wie cały świat o tem, jaką wdzięczność okazał Luigi Luccheni cesarzowej austryackiej!

— I nikt nam nie idzie na pomoc, — odezwał się teraz Antoni. — Doprawdy nie rozumiem tego!

— A jutro może będzie już za późno, — szepnęła cesarzowa smutnie.

Od dwudziestu czterech godzin nic w ustach nie mieli. Pragnienie mogli cokolwiek zaspokoić śniegiem, ale głód dawał im się teraz bardzo we znaki. Z tem wszystkiem nikt nie narzekał, nikt się nie skarżył, i głodni udali się znowu do chaty z śniegu, aby w niej drugą noc przepędzić. Tu im przynajmniej zimno tak bardzo nie dokuczało!

Antoni i Ravanel nie spali. Po koleji wychodzili z śniegu, chcąc patrzeć, czy pomoc nie nadchodzi, ale dotychczas oczekiwania ich nie spełniały się!

— Nie ma dla nas ratunku, mówił Antoni. Ludzie o nas zapomnieli, Bóg nas opuścił...

— Tak, jest to pewnie nasza ostatnia noc na ziemi, dokończył Ravanel.

W tejże chwili wyszła cesarzowa z chaty.

— Nie mogę spać, rzekła, posłanie trochę twarde! Więc wy nie macie już nadziei? Myślicie, że Bóg nie zlituje się nad nami? Ja jednak mam takie przeczucie, jak gdyby pomoc była blizką!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żywcem pogrzebany.

Powieść z włoskiego.

8) Tłomaczyła P. Otrys.

(Ciąg dalszy).

O dziewiątej wypłynęliśmy z zatoki — powietrze było dziś znacznie chłodniejsze, podróż zatem znakomita! Siedziałem zamyślony na ławce i patrzałem bezmyślnie na błękitne fale, uderzające o naszą łódź!

Nagle zbudziło mnie lekkie dotknięcie ręki, i gdy podniosłem głowę, ujrzałem kapitana, stojącego przedemną i patrzącego na mnie z dziwnym uśmiechem.

— Nie chce wielmożny pan papierosa lub cygaro? zapytał z właściwą sobie uprzejmością.

— Dlaczego nazywacie mnie wielmożnym panem, odrzekłem niechętnie. Jestem poławiaczem korali.

Kapitan rozśmiał się głośno i wzruszył ramionami.

— Bardzo dobrze, jak pan sobie życzysz, ale....

— Ale co?

Kapitan schylił się i wskazał na moje ręce.

— Takich rąk nie mają rybacy!

Miał słuszność! Ręce moje bardzo były białe i delikatne. Bystre jego oczy spostrzegły zaraz przeciwieństwo pomiędzy memi rękami a ubraniem — dziwna rzecz, że dotąd nikt inny tego nie zauważył!

Z początku byłem trochę zmieszany, ale potem wyjąłem cygaro, i zapalając je, rzekłem obojętnie.

— I cóż ztąd, przyjacielu!

— Nic, chciałem tylko powiedzieć, że wielmożny pan będzie ze mnie zadowolony. Umiem milczeć i troszczę się tylko o swoje sprawy!

Podziękowałem mu serdecznie za te szczere słowa i poczęstowałem go cygarem.

— Wyborne, rzekł z uznaniem. Ale wielmożny pan zechce też może przyjąć odemnie cygaro!

Nie chcąc go obrażać, wziąłem jedno z kilku, które mi podał, i rzuciwszy moje w wodę, zapaliłem je natychmiast. Muszę przyznać, że rzadko kiedy miałem coś podobnie znakomitego w ustach.

— Ależ to nadzwyczajne, zawołałem zdumiony. Zkąd macie tak drogie cygaro?

Kapitan uśmiechnął się znacząco.

— Że dobre, to nie ulega wątpliwości, dostałem je bowiem od kogoś, kto tylko najlepsze pali gatunki.

— Od kogóż to?

— Od Carmela Neri! On bardzo jest wybredny!

— Nie może być! zawołałem zdumiony.

Dziwne zrządzenie przypadku sprowadzało mnie po raz drugi na ślad tego bandyty!

Paliłem jego cygaro i zawdzięczałem mu ogromny majątek!

— Znasz go pan? zapytałem po chwili.

— Czy ja go znam? Jak siebie samego! Przed dwoma miesiącami znajdował się tu na moim statku. Było to tak: pojechałem do Gaeta — i tam on przyszedł do mnie, mówiąc, że żandarmi go ścigają. Ofiarował mi więcej złota, niż kiedykolwiek widziałem, i prosił, abym go zawiózł do Termini, gdzie łatwo się ukryć może. Teresa towarzyszyła mu, a ja byłem sam na moim statku...

— Zawieź nas do Termini, mówił, a dam ci złota mnóstwo, jeżeli się będziesz wzbraniał, zabiję cię! Rozśmiałem się, przyniosłem Teresie krzesło i kilka soczystych gruszek i rzekłem:

— Słuchaj Carmelo, czemu mi grozisz? Ani ty mnie zabijesz, ani ja ciebie zdradzę! Jesteś bandytą, zbójcą, a zdaje mi się, że byłbyś może lepszym, jak niejeden inny człowiek, gdybyś tylko ten nóż odłożył! Nie potrzebujesz mi dawać tyle złota za przewiezienie — zapłać, ile mi się należy, a potem ze względu na Teresę rozstaniemy się jak przyjaciele.

Carmelo spojrzał na mnie strasznym wzrokiem, Teresa zaś zerwała się, podała mi rękę i rzekła ze łzami w swych ładnych, niebieskich oczach:

— Jesteś dobrym człowiekiem! Ta, którą kochasz, jest pewnie dumną na ciebie!

Teresa miała słuszność! kończył kapitan i z wdzięcznością spojrzał na niebo.

Mnie zazdrość rozrywała serce!

— Szczęśliwy, rzekłem, masz pan gwiazdę przewodnią w życiu, kobietę, która cię wiernie kocha...

— Tak!

I zdjąwszy czapkę dodał z wyrazem najwyższego uszanowania:

— Tą gwiazdą przewodnią, tą kobietą, która mnie wiernie kocha, jest moja — matka!

Słowa te wzruszyły mnie głęboko, i znów gorzki żal ogarnął moje serce. Czemu, ach czemu umarła tak wcześnie moja matka? Czemu nie zaznałem nigdy tego świętego uczucia, ożywiającego duszę tego człowieka? Czemu byłem opuszczonym od wszystkich i zrujnowany zdradą kobiety?

Kapitan wyczytał pewnie z mej twarzy smutne te myśli, bo rzekł z współczuciem:

— Wielmożny pan nie ma już matki?

— Nie, umarła, gdy byłem dzieckiem, odpowiedziałem.

Kapitan milczał.

— Kto jest Teresa? zapytałem po chwili, chcąc zmienić temat rozmowy.

— Trudno to powiedzieć. Kocha ona Carmela Neri — otóż wszystko, co o niej wiem. Czy pan widział kiedy Carmela?

— Nie!

— Jest to mężczyzna wysoki, barczysty i silny jak lew, Teresa, to chmurka lekka! Mała, drobna, jak dziecko, jasnowłosa, o maleńkich białych rączkach, nie mogących nawet gałązki złamać — a jednak Carmelo jest uległym jej niewolnikiem i wypełnia każdy jej rozkaz!

— Czy ona mu wierna?

Kapitan zdziwiony, spojrzał na mnie.

— Czy ona mu wierna! powtórzył. Widać, że pan jej nie znasz! Był tam jeden z towarzyszy Carmela, śliczny, młody chłopak — ten szalał za nią, i raz, zastawszy ją samą, chciał ją pocałować. Ale ona wyjęła rewolwer z kieszeni i strzeliła do niego. Nie zabiła go wprawdzie — to już Carmelo uczynił sam później, widzi pan jednak, jaki to szatan, owa mała, śliczna dziewczka! Jest ona dumna z tego, że żaden mężczyzna, oprócz Carmela nie dotknął nawet jej warkocza! Szkoda, że ona go tak kocha!

— Jakto, wolałbyś, aby go oszukiwała?

— Nie, bo taka kobieta zasługuje na śmierć! Ale policya schwyci raz przecie Carmela i to ją zabije! Jeżeli nie umrze z rozpaczy, to sama sobie życie odbierze. Jest ona drobna i delikatna, jak kwiatek, ale posiada żelazną energią. Często się zdarza, że takie słabe kobiety najwięcej posiadają odwagi!

Teraz odwołano kapitana i zostałem sam z memi myślami.

I znów słyszałem słowa:

— Idź i zabij ją!

Że mi też te okropne słowa nie mogły wyjść z pamięci.

W ciągu dnia mało już miałem sposobności rozmawiania z kapitanem; cały czas przepędziłem na pokładzie, rozkoszując się chłodnem powietrzem, a na noc przygotowałem sobie posłanie — również na pokładzie.

Poczciwy kapitan nie chciał na to w żaden sposób pozwolić.

— Nie dobrze spać, mówił w świetle księżyca, ma to być nawet bardzo niebezpiecznie.

Dla mnie nic już nie było niebezpiecznego. Jeżeli przeszłej nocy nie straciłem zmysłów, to cóż mi jeszcze mogło grozić?

— Uspokój się pan, odpowiedziałem, ja lubię światło księżyca i mnie ono nie zaszkodzi! Będę spał wybornie.

Wtedy przyniósł mi kapitan ciepłe futro, okrył mnie starannie i odszedł.

A ja leżałem cicho i patrzałem w niebo usłane gwiazdami, i myślałem, czy też istnieją gwiazdy, na których nie ma kobiet?

(C. d. n.)

Trzy wiersze Jubilatki M. Konopnickiej.

Nasze kwiaty.

Jeszcze śnieżek prószy,
Jeszcze chłodny ranek,
A już w cichym lesie
Zakwita zasianek.

A za nim przylaszczka
Wychyla się z pączka;
Kaczeńcem się żółtym
Złoci cała łączka.

I dłużej już dzionka
I bliżej słoneczka,
A w polu się gwieździ
Biała stokroteczka.

A dalej fijołki
Wskroś trawy pod rosą
W świeżych swych czareczkach
Woń przesłodką niosą.

A tuż ponad strugę,
Co wije się kręta
Niezapominajka
Otwiera oczęta.

A w gaju, wśród liści
W wilgotnej ustroni,
Konwalia bieluchna
W dzwoneczki swe dzwoni.

Z lasu.

Poszły dzieci na jagody,
Dla mamy, dla taty,
Rozesłał im las pod nogi
Królewskie makaty.

Rozesłał im las pod nogi
Same aksamity,
Mchu kobierzec różnowzory,
Kwiateczkami szyty.

A w tym lesie głos się niesie,
Brzmią wesoło pieśni,
Cudnie dziatkom przynucają
Śpiewakowie leśni.

A w tym lesie dęby stare
Trzęsą siwą brodą,
Długie, tajne rozhowory,
Między sobą wiodą.

Stare dęby, ojce stare
Dawne wieści prawią,
Tych dziateczek jasne głowy
Szumem błogosławią.

Oj ty lesie, miły lesie,
Bądź nam pozdrowiony,
Już żegnamy pieśni twoje
I twój dom zielony.

Moja tabliczka.

Mam tabliczkę czarną,
Skarb mój ukochany;
Mam i rysik prosty,
W torebce schowany.

Na tabliczce piszę
Różne ładne słowa,
Więc też ją szanuję
Jest jeszcze jak nowa.

Rysik mój rysuje
Strzelbę, bicz i konia,
I ten wóz, co tata
Jedzie nim na błonia.

Rysik mój napisze
Imię drogiej mamy,
Piszmy zaraz wszyscy,
Jak się nazywamy.

Czas największy zapisać

„PRACĘ“

na miesiące sierpień i wrzesień.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na sierpień i wrzesień

tylko 84 fen.

„Praca“ zapisaną jest teraz na poczcie w spisie gazet na rok 1902 pod rubryką: Abtheilung II t. poln. Nr. 95.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie, winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z *Poznania.*

Kto z nowych abonentów życzy sobie mieć początki drukujących się powieści „Męczennica w koronie“ i „Żywcem pogrzebany“, niech nam nadeśle na dowód, że zapisał sobie „Pracę“, kwit pocztowy abonamentowy z dołączeniem 20 fenygów w znaczkach pocztowych, gdyż tylko pod tym warunkiem początki powieści wysyłamy.

Każdy ze starych abonentów, który zjedna nowego abonenta, otrzyma jako

premium

piękną książkę powieściową, jeżeli nam nadeśle na dowód własny kwit abonamentowy pocztowy, oraz kwit zjednanego abonenta.

Jeszcze wciąż można zapisać

„Czytelnię Polską“

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1902 pod rubryką: „Abtheilung II t poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fenygów.

W Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech

97 hal.

Pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koroną 32 hal.

Kwity pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ zamieszczone są między inseratami.

Wiadomości.

— **Do skompletowania** kwartalników potrzebne są nam numery 28 i 30 „Pracy“ z r. b. Kto z Szanownych Czytelników ma na zbyciu numery wzmiankowane, niech nam je zechce nadesłać, za co wywdzięczymy się w inny sposób.

— **Pan dr. Józef Chrzanowski,** specyalista w chorobach kobiecych i położnictwie, wrócił z podróży i przyjmuje chorych w zwykłych godzinach.

— **Pan J. Skwierczyński,** dawniejszy długoletni właściciel handlu żelaza w Buku, otworzył w Inowrocławiu przy Rynku i ul. Farnej (dawniej L. Pankowski) handel żelaza, towarów krótkich oraz wszelkich materyałów budowlanych. Polecając to przedsiębiorstwo rodaka względom Czytelników naszych, zasyłamy mu staropolskie „Szczęść Boże!“

— **Obrazy i figury** św. Pańskich, książki do nabożeństwa oraz artykuły dewocyjne poleca jak najtaniej p. J. Mrówczyński, właściciel firmy „Globus“ w Rawiczu przy ulicy Ludwiki (naprzeciw apteki pod lwem). Firma wzmiankowana zajmuje się także oprawą obrazów. Jestto jedyny polski interes w tej branży w Rawiczu, więc Czytelnicy, pomni na hasło „Swój do swego“, niech nie zapominają o p. Mrówczyńskim!

— **Odezwa.** W roku bieżącym upływa lat 25, kiedy to za inicyatywą dawniejszego księdza mansyonarza w Poniecu, a teraźniejszego ks. proboszcza K. Bluemela w Łobżenicy i kilku obywateli miasta Ponieca popowzięto myśl założenia stowarzyszenia pod nazwą Towarzystwo Przemysłowe, któreby zgromadziło pod sztandar swój obywateli i całą młodzież przemysłową i przemysłowo-handlową, celem wspólnego łączenia, pouczania się wzajemnego przez wykłady, odczyty, pogadanki, oraz celem podźwignięcia bytu duchowego i materyalnego u Przemysłowców. Towarzystwo nasze musiało wprawdzie przechodzić rozmaite ciężkie próby, wszelako pomimo przeciwności, zawsze wytrwale dociera do wytkniętego celu. To też błogo nam dzisiaj spojrzeć na okres naszej 25-letniej pracy.

Celem zaś pokrzepienia ducha i zaczerpnięcia otuchy do dalszej pracy, postanowiliśmy przyjętym zwyczajem obchodzić uroczystość naszą dnia 24 i 25 sierpnia r. b. podług poniżej zamieszczonego programu.

Wszystkich Towarzystwu naszemu przychylnych prosimy, aby jaknajliczniejszy współudział w obchodzie tym wziąść chcieli. Towarzystwa Przemysłowe raczą nam ilość swych delegatów do dnia 10 sierpnia r. b. piśmiennie podać na ręce p. W. Miśkiewicza. Bliższych wiadomości zasięgną przybywający goście i delegaci Towarzystw w biórze informacyjnem w hotelu p. A. Rajewskiego

dnia 24 sierpnia od godziny 12—3 po południu.

Sądząc na pewno, że Szanowne Towarzystwa, jako też osoby pojmujące ważność zadania swojskiego przemysłu, nie odmówią nam swego współudziału w tak ważnej uroczystości, powodujemy się tem uznaniem, że praca około jednoczenia się w przemyśle powinna nas kojarzyć i wszystkich, lubo miejscem rozdzielonych, łączyć we węzeł bratniej jedności.

Z braterskiem pozdrowieniem:

Zarząd Towarzystwa Przemysłowców w Poniecu.

X. Dr. Skrzydlewski. W. Miśkiewicz. R. Szymański. J. Radojewski. M. Charaszkiewicz. F. Bączkowski. J. Kaniewski.

Program obchodu 25-letniej rocznicy założenia Towarzystwa Przemysłowego w Poniecu. W niedzielę, dnia 24 sierpnia r. b. 1. O godzinie 8 Msza święta na intencyą Towarzystwa. 2. O godz. 3 po południu powitanie Gości i Delegatów na sali p. A. Rajewskiego. 3. Wręczenie medali pamiątkowych członkom jubilatom. 4. Wspólny wymarsz o godz. 4 do ogrodu w Strzelnicy. 5. Koncert i gry towarzyskie. 6. O godz. 8 przedstawienie amatorskie i żywy obraz; po przedstawieniu zabawa.

W poniedziałek, dnia 25 sierpnia r. b. 1. O godz. 9 Msza św. za dusze zmarłych członków. 2. O godz. 10 zagajenie posiedzenia przez Prezesa na sali p. A. Rajewskiego, wybór przewodniczącego, sekretarza i ławników. 3. Przemówienie Założyciela Ks. proboszcza Bluemla. 4. Sprawozdanie z 25-letniej pracy Towarzystwa przez sekretarza. 5. Odczyt Ks. Dr. Skrzydlewskiego z dziedziny przemysłu. 6. Dyskusye i wolne wnioski. 7. Zamknięcie posiedzenia i pożegnanie Gości i Delegatów. Wspólny obiad, nakrycie 1,25.

† **Z prowincyi.** W Swiętem pod Trzemesznem zmarła dnia 30 lipca rb. śp. **Weronika** z Ciszewskich **Matuszewska** w 82 roku życia. Zacna ta polska matrona była siostrzenicą błogosławionej pamięci doktora Karola Marcinkowskiego, któremu nietylko podobną była z rysów twarzy, lecz także z charakteru, mianowicie miała serce miłosierne, a szczególną dobrodziejką była dla chorych i nieszczęśliwych. Przez ćwierć wieku opiekowała się jako małżonka dyrektora wychowańcami poznańskiego zakładu głuchoniemych, na którem to polu rozwijała czynność iście macierzyńską. Niech Jej ta przez nią serdecznie ukochana ziemia ojczysta lekką będzie!

† **Pelplin.** W czwartek, 24-go z. m. po południu umarli niespodziewanie opatrzeni św. Sakramentami dwaj księża dyecezyi chełmińskiej: śp. ks. delegat dziekan radzca duchowny Fryderyk Tulikowski, proboszcz w Tucholi, kapłan-jubilat, który dnia poprzedniego miał być instytuowanym na kanonikat honorowy, i śp. ks. Jan Bonin, proboszcz w Chwaszczewie. Pierwszy umarł na wycieńczenie sił, w 79 roku życia a 59 roku kapłaństwa; drugi umarł na tyfus, w 56 roku życia a w rozpoczętym 31 roku kapłaństwa. Sp. ks. Jan Bonin znany był na Kaszubach jako kapłan zacny, spokojny, miłujący lud i wielki patryota. Zgon tego zacnego kapłana wywołał żal głęboki wśród wszystkich, którzy go znali. R. i. p.

Wiadomości literackie i artystyczne.

— **Zasłużony** bardzo i niestrudzony pracownik nasz na polu wydawnictw ludowych jubilat p. Józef Chociszewski z Gniezna wydał *75 sztuk teatralnych* dla domowych i amatorskich przedstawień, które za bajecznie nizką cenę, bo tylko za 4 marki nabyć można u wydawcy.

Oto spis sztuk teatralnych: 1. *Koszyk kwiatów.* Obraz dramatyczny ludowy w 5-ciu odsłonach ze śpiewami. Przez J. Chociszewskiego. Cena 1,50 mk. 2. *Scena ludowa.* Zbiór łatwych dramacików, komedyjek, krotochwil, fraszek scenicznych, monologów, dyalogów i wierszy, stósownych na przedstawienia domowe podczas wesół, imienin, wieńców itp. uroczystości rodzinnych, oraz dla teatrów amatorskich. Ułożył J. Chociszewski. 240 stron, *35 sztuk teatralnych* i 18 wierszy. Cena z przes. 1,70 mk., na oprawę dopłaca się 40 fen. 3. *Czarodziejski stolik* i zaczarowane kije w miechu z dodatkiem komedyjki: „Stróż ze Swarzędza w Kostrzynie.“ 1 mk. 4. *Gwiazdka i Gwiazdor.* Zbiór dramacików, komedyek, dyalogów i widowisk szopkowych na gwiazdkę i kolędę. 80 fen. (Znajduje się tu wzruszająca sztuka: Wilija Bożego narodzenia). 5. *Miła zabawa* dla dzieci po nauce. Zbiór łatwych sztuczek teatralnych i rozmów do odgrywania podczas imienin, świąt i różnych uroczystości rodzinnych (26 sztuczek i 14 wierszy) 60 fen. na oprawę dopłaca się 20 fen. 6. *Muzułmanin i chrześcianka.* Obraz dramatyczny w 7 odsłonach z czasów wojen krzyżowych przez Klemensa Kosickiego. 1,25 mk.

Kto razem te dziełka nabywa, płaci zamiast 6,85 mk., **tylko 4 marki**, za co przesyłka franko. Zamawiać pod adresem: *J. Chociszewski, Gniezno — (Gnesen.)*

Wydawnictwo powyższe polecamy gorąco naszym czytelnikom. Jak wiadomo, policya stawia coraz większe trudności teatrom amatorskim, zatem czas wielki pomyśleć o urządzaniu teatrów domowych, które mogłyby zdziałać wiele dobrego i skutecznego, gdyby choć nie w każdej wsi, ale przynajmniej w każdej okolicy były urządzane. Dotychczas nie można było tego uczynić, gdyż brakło na ten cel sztuk stósownych. Zapory te usunął p. Chociszewski, ułożywszy niemałą liczbę komedyjek, które już tu i owdzie odegrano z wielkiem powodzeniem.

Od Administracyi.

Panu Michałowi Gl. w Jurkowie. — Prosimy o kwit abonamentowy i 20 fen. na porto a prześlemy.

Panu Tomaszowi M. w Kostrzynie. To samo.

Od Redakcyi.

Panu Wielebińskiemu w O. — Dziękujemy bardzo. Wysłaliśmy 25 egzemplarzy.

Panu A. w Poniecu. — Odebraliśmy i zużytkujemy.

Panu M. T. 4. — Wiersz Pański nie nadaje się do „Pracy.“

Trojakowi z pod Tarnowa (Galicya). Korespondencyą łaskawie nam nadesłaną jako też i wiersze chętnie byśmy byli zamieścili, gdybyś Pan, pisząc takową, był uwzględnił, że „Praca“ wychodzi w zaborze pruskim i że się cieszy szczególnemi względami prokuratoryi.

Panu Adamowi Pr. w Lassum. — Za łaskawe popieranie „Pracy“ i nadesłanie wiadomości serdecznie dziękujemy. Premie wysłaliśmy.

Panu S. Z. w Oświęcimiu (Galicya.) Zaabonuj Pan to pismo w jednej z księgarń w Krakowie, nic więcej nie kosztuje, jak gdybyś Pan wprost abonował. Za łaskawe pozdrowienie i życzenia szczere dziękujemy najserdeczniej.

Panu Józefowi N. w Poznaniu. — W tej kwestyi zaopiniowaćby mogli tylko znawcy t. j. *malarze-artyści.* Fantazya u najsłynniejszych malarzów była i jest nadzwyczaj bujną, mianowicie w odtwarzaniu typów, że wspomnimy tylko o utworach bardzo słynnego mistrza włoskiego Rafaela. A właśnie tutaj tylko o typ się rozchodzi, a chyba nie nam zwykłym śmiertelnikom protestować przeciw temu należy, że odnośny malarz-artysta swemu utworowi taki nadał tytuł! Na resztę uwag nie odpowiadamy, nie chcąc się odwdzięczyć „pięknem za nadobne“, więc kończymy zdaniem: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem!“

Pani Waleryi Tesnerowej w Słupsku (Stolp. Pomerania) — „M. Danecki. — Miejska Górka. — Goerchen. Pr. Posen.“

Pani K. Kaźmierczakowej w Kępnie, oraz *panom: Antoniemu Lindzie w Czersku, Prusy Zach., Kazimierzowi Anflikowi w Klonówce, Prusy Zach.* i *Wł. Machyńskiemu w Witkowie.* — Wiadome kwartalniki już zkąd inąd nam nadesłano, więc z łaskawej oferty korzystać nie możemy.

Panu Józefowi Amberskiemu w Reisholz — Dysseldorf. — Z listu Pańskiego nie możemy się wcale dowiedzieć, o co Panu właściwie chodzi. Czy Pan ma jaki rękopis gotowy do druku? List Pana jest wogóle „zagadką“, którejby nawet „mądry król Salamon“ nie potrafił rozwiązać.

Panu G. F. w miejscu. — Dziękujemy za łaskawą pamięć — może później zużyjemy.

Panu Jakóbowi Rumińskiemu na Górnym Śląsku. — W tej sprawie trudno radzić; jeżeli Pan chcesz umieścić syna jako elewa gospodarczego w dominium polskiem w W. Ks. Poznańskiem, to zamieść Pan ogłoszenie w „Pracy.“

Zakochanemu. — Adresując zawsze pisać należy: „Wielmożna Pani N. N....“, chociażby adresatka była panną.

Panu I. K. w W. — Rzeczownik „kometa“, podobnie jak „planeta“ jest teraz powszechnie używany w rodzaju żeńskim. U dawniejszych pisarzów idących wzorem języków obcych, spotykają się te wyrazy i w rodzaju męzkim, obecnie jest to uważane za błędne.

Panu D. S. na prowincyi. — Udaj się Pan w tej sprawie z zaufaniem do biura informacyjnego „Justitia“ w Poznaniu przy ulicy Wiedeńskiej nr. 8, I p. Właścicielem biura jest szanowany obywatel, weteraz z roku 1863, p. I. N. Szulc.

Humorystyka.

Pan Kubusz Piwner na raucie.

(Monolog).

(Mały, przysadzisty, z zaokrąglonym brzuszkiem. Na rumianej twarzy małe wąsiki, pod dolną wargą „muszka“, na policzkach zaokrąglone i przy skórze wystrzyżone „baczki“. Głowa uczesana modnie. Ubrany we frak długopoły, gors koszuli żabotowy, nachawtowany, brylantowemi spinkami. W ręku atłasowy szapoklak, rękawiczki bladoseledynowe, na kamizelce gruba wisząca dewizka. Mówi szybko, zatrącając żargonem a literę „r“ wymawiając jak „hr“. Po wyjściu na estradę ociera jedwabną hustką pot z czoła, poczem otrzepuje lakierki).

Jestem sobie melomanem,
Na koncerty zawsze chodzę,
Moje imię wszędzie znanem...
Jak pokażę sze na raut,
Wszyscy biegną do mnie zgrają
„Kubusz!... Kubusz!... przyszedł sobie!..“
Wszistkie zara tak wołają,
A ja kłaniam w wszistkie strony
I zawołam: — Guczek, hrabia!...
A, pan baron!... padam do nóg...
(jakby witając się)
Cóż pan dżedżyc tu porabia?
Monsie Alfred... cobysz zdrów buł,
Dawno tobie nie widżałem...
A tu znowu panna Róże,
Co jest moim ideałem...
(Gestykulując)
Kłaniam sze więc z całym szykiem
I zapitam: — Jakże zdrowie?
Pani buła bardzo słaba,
To aż po mnie przeszło mrowie,
Jak sze temu dowiedżałem
Co sze z panią robi złego —
To — wie pani — mnie samemu
Ząb z zmartwienie bolał tego...
Ale już jest pani lepiej,
Po co było tyle krzyku —
Moje czocze także prziecież
Miała pypecz na języku,
To jest dżyszaj jak bik zdrowa,
Gada, jak gadała, dalej,
Chocz doktory jej w Berlinie
Kawał język uczynali,.. *(Po chwili)*
To jak słyszą inne goszcze,
Co tam Kubusz cusz dowodzi
To sze zara z różne strony
Całe kupe kobiet schodży...
(Poprawiając kołnierzyk)
Nu, bo mogę przyznacz sobie:
Kubusz damom sze podoba,
Mam nos ładny, ładne uszów,
I mam oczów także oba,
I mam... ruble!... Dy a ruble,
To żydówki lubią bardzo...
(Z grymasem) Jeno teraz to żydkami
Cusz żydówki strasznie gardżą;
Każda chczałaby pójszcz za mąż,
Każda szlubem sze zawiąże,
Tylko żąda by buł hrabia,
Albo baron, albo książę...
To też ja nie lubię żydów,
I chocz zakon mój nie zmienię,
Nie ożenię więc sze wcale —
A z żydówką nic ożenię!...
(smutnie) Miałem kilka już wypadki,
Że chocz pannę brałem szmiało,
Lecz mi zawsze ktosz przeszkodżył,
Zawsze mi sze nie udało...
Panne Gitle Wajsebube
To kochałem tak jak tygrys!...
I już miałem sobie żenicz —
Lecz mnie hrabia jakisz wigryzł!
Potem panne Ryfke Cymes
Miałem żenicz sze napewne,
To mi wlażył w droge szlachczyc,
Co miał kilka trzode... chlewne,
Jedne krowe, trzy włók żemie,
Gięszów może ze czwiercz kopy.
A w majątek jego cały
To mieszkały cztery chłopy...
Ale herb miał bardzo wielki,
Ny, to tatko słowo zmienił,
Mnie wipchnęli zara za drzwiów,
A ten szlachczyc sze ożenił...
Potem... to sze zakochałem
W panne Małke, córke kupiec,
To biwałem tam dwa roków,
Aż mi rzekła, co ja głupiec!
Bo w tej chwlli, gdy miszlałem
Co ożenię sze nareszcze —
To tam biwał także książę,
Co odemnie rubli dwieszcie
Raz pożyczał (Kubusz głupi!
Ty mu dałesz ku twej zgubie!)
I za moje te pieniądze
W tydzień z Małke buł po szlubie!
(Po chwili)
Tak mi wszędże panny brano,
Kiedy bułem już po słowie —
I to zawsze buli różne
Lub książęta, lub hrabiowie!...
To ja tyle mam z tej sprawy,
Co z przeróżnych hrabskich synów,
Mam przez różne koligacje,
Może jakie... sto kuzynów!
A te sto kuzynów razem
To mnie skubią jak rój wróbli —
Uni razem to mnie winne
Może jakie... trzysta rubli —
Dajno Kubusz — jutro zwrócę
Ny, to jutro — to jest jutro —
A ja uczę się „*pin ince*!“
I nie mogę sze oszwietlicz,
Bo mam takie miętkie serce...
(Namyślając się)
Za co daję?.... Że żydówki
Nasze u nich w poniewierce?
Wiem co zrobię!... Kiedy oni
Zabierają nasze żony —
To ja także zrobię geszeft
Co mieć będzie szliczne plony...
Wiem co zrobię!... Cały system
Mych konkurów teraz zmienię
(Pokazując na bok)
Pójdę sobie do salonu
I z hrabianką sze ożenię!
(Patrząc za kulisę)
Aha!.,. Fredżo hrabia . . . ski
Własznie idże z swoją szostrą —
Kubusz!... Popraw ty swój krawat,
I... raz, cwaj, draj!... dalej ostro!...
Bądź ty taki „asymilant“,
Dobro swoich miej na planie —
I pamiętaj co rzekł Darwin:
Dobrem szwiata — ras zmięszanie!.

Uważna służąca.



Pani: Ah, ty głupia!... mówiłam c przecież, żebyś uważała, kiedy się mleko zaczyna gotować.

Służąca nowoprzyjęta: Ja też uważałam, proszę pani: było akurat kwadrans na dziewiątą.

— Powiadasz, że codziennie rozmawiasz z Iksem, a nie wiesz, jak on wygląda. To niepodobna!

— Ależ ja z nim rozmawiam — przez telefon....

„La donna e mobile.“

W zdaniu żeście zmienne panie,
Do przesady bardzo blizko,
Bo lubicie zmieniać: zdanie,
Suknie tylko i — nazwisko.

Lecz i stałość jest w kobiecie,
Która granit z kwieciem brata,
Niema bowiem stalszych w świecie,
Gdy wypadnie liczyć — lata...

Z księgi przysłów.

Jeszcze się ten nie urodził,
Coby wszystkich za nos wodził,
Kto zadziera nos do góry,
Pokazuje w nosie dziury.
Gdzie rej żona wodzi,
Mąż na piwo chodzi.
Mąż w stosunku do swej żony,
To strach w zbożu postawiony;
Zrazu się go wróble boją,
Ale niechno się oswoją,
Póty, w kłosach dłubiąc, jedzą,
Aż do szczętu je wyjedzą.

Na mocy zlecenia wprost poszukujemy dla zamożnego kupca rodaka ***z zaliczką 300 tysięcy marek*** kupna

majątku

najchętniej w powiecie Toruńskim, Chełmińskim, Wąbrzeskim lub też Bydgowskim, evtl. także i w jednem z lepszych powiatów Księstwa.

Warunek: dobra ziemia, z gorzelnią, dobre budynki, wygodna komunikacya, ilemożności blizko miasta, dostateczna ilość łąk, ilemożności z lasem i wodą.

Drwęski & Langner,
Dom Bankowo-Komisowy,
ulica Rycerska 38. Poznań. Telefon Nr. 1246.
Założ. w roku 1876.

Dworostwa

dwa, 300 i 350 mórg wielkie, z folwarków, które Potulice przy Nakle parcelują, są jeszcze do wydzierżawienia. 596

Osobiste zgłoszenia przyjmuje i informacyi na miejscu udziela

Domin. Teresin
p. Slesin.

Korzystny interes.

Posiadłość w większem mieście powiatowem, nad jeziorem w romantycznem położeniu, z powodu śmierci właściciela pod bardzo dogodnemi warunkami zaraz do nabycia.

Dom dwupiętrowy i stajnie nowo wybudowane, **piękny ogród, restauracya w dobrym biegu, właściciel ma wyłączne prawo do trzymania i wynajmowania łódek na jezioro.** — Kąpielnia jedyna w mieście, urządzona podług nowoczesnych wymagań. Cena 36,000 marek. Wpłata podług ugody. Spieszne zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy" pod lit. G. 13.

Pewna egzystencya!

W jednem powiatowem mieście Prus Zach. (przy kolei) jest 590

wielki dom z handlem

przed 10 laty podług najnowszego stylu przebudowany, w którym prawie 60 lat istnieje pod jedną firmą z wielką klientelą polską i niemiecką interes manufakturyjny, konfekcyjny i zapasowy, można bez lub z handlem zaraz lub później drogą kupna nabyć. Reflektantów uprasza się o łask. oferty do eksped. „Pracy" pod lit. **R. W. 6472.**

Dom mieszkalny

z wielkim warsztatem, nadającym się dla **stolarza, puszkarza, kowala, stelmacha, drukarza,** wogóle dla każdego rzemiosła, w mieście większem powiatowem, jest zaraz do nabycia. **Parcele pod budowle** w dobrem położeniu również się poleca. Bliższych wiadomości udzieli ekspedycya „Pracy pod lit. S. nr. 583.

Bardzo korzystne kupno.

2 nowe trzypiętrowe kamienice

w najlepszem położeniu, mieszczące 6 interesów I. branży, wszystko zamieszkałe, w pow. mieście, w najlepszym rozwoju, w żyznej i bogatej okolicy, mam zamiar z powodu innego przedsiębiorstwa sprzedać za przystępną cenę 110 tys. mk., zaliczki 30 tys. mk. albo pomijać na folwark od 300—500 mórg, sposobność dla kupca albo starszego wiekiem kapitalisty. Egzystencya pewna i spokojna choćby i przy wątłem zdrowiu.

Oferty upr. do eksped. „Pracy" pod lit. S. nr. 581,

Korzystne kupno

Folwark

460 mórg pod Srodą, ***ślicznie odbudowany i sam dla siebie, ziemia buraczanna I kl. ładny obszerny dwór w rodzaju pałacyku,*** inwentarz kompletny i mocny ***Grundsteuerreinertrag ca 3 mk. z morgi*** od Srody niespełna pół mili, ***przy zaliczce 40,000*** za 148,000 mk.

Zgłoszenia przyjmuje
Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
Poznań
ul. rycerska 38 telefon 1246

Wioska

w okolicy Gniezna tylko 2 klm. od szosy ca 800 mórg. incl. 40 mg łąk, z niewyczerpanym pokładem torfu, ***ziemia przeważnie pszenna i w wysokiej kulturze,*** budynki kompletne, murowane, pod papą.

Dom mieszkalny nowy w rodzaju willi, murowany, pod łupkiem na suterenach, o 8-miu wygodnych, obszernych pokojach i t. d. inwentarze kompletne i w porządku, od miasteczka i szosy tylko 1 klmtr. ***przy zaliczce 75,000 mk.*** 300 mk. za morgę. Oferty upr. do ekspedycyi „Pracy" pod ***No. 2365.***

Wieś
rycerska

600 mórg w okolicy Wągrówca, incl. 80 mórg pysznych łąk i ca. 3 mg. rybnych stawów, ***ziemia przeważnie pszenna, reszta dobra jęczmienna,*** budynki obszerne i w dobrym stanie, ***dwór pański o 9-ciu pokojach etc. w ładnym parku;*** inwentarz liczny i dobry. Wysiew 40 mg. pszenicy, 40 mg. jęczmienia, 240 mórg żyta, 100 mg. owsa, 80 mg. perek itd. ***Urodzaje świetne. Przy zaliczce 40,000 mrk.*** za 270 mrk. morgę do nabycia od nierodaka.

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Po znacznie zniżonych cenach sprzedamy:

1. Dworostwo w Lanken powiat Złotowski Prusy Zach. z budynkami, kompl. inwentarzem, 364 morgi przy wpłacie 40,000 mk.

2. Folwark tamże 300 mórg z budynkami i bydłem przy wpłacie 25,000 mk.

3. Tamże parcele po 60, 50, 40, 30, 20, 16 i 12 mg. z domami przy wpłacie $^1/_3$ ceny kupna na długoletnie wpłaty.

4. Dworostwo we Woli Wapowskiej pod Kruszwicą, ca. 590 mórg kujawskiej ziemi, z pełnem żniwem, włącznie 30 mórg buraków cukrowych, pysznym inwentarzem i budynkami nowemi, szosa aż do podwórza, przy wpłacie 65,000 mk.

5. Parcele tamże po 45, 22, 10, 8, 4 morgi z domami przy wpłacie $^1/_3$ ceny zakupna.

6. Dworostwo w Zielnikach pod Środą w obszarze 640 mórg, z pięknym pałacem, oficyną i parkiem, kompl. inwentarzem i dobremi zabudowaniami gospod. przy wpłacie 75,000 mk.

7. Dworostwo we Woli Łagiewskiej pod Kłeckiem obszar 313 mórg, ziemia pszenno-buraczana z mur. budynkami, pełnem żniwem i kompl, dobrym inwentarzem, przy wpłacie 35,000 mk.

8. Parcela tamże z domem i 60 morgami przedniej ziemi i łąki przy wpłacie $^1/_3$ ceny kupna.

9. Gospodarstwo w Zalesiu p. Rogowem z budynkami, inwentarzem i pełnem żniwem, 73 morgi, przy wpłacie 6000—8000 marek.

10. Place budowlane w Kotowie p. Poznaniem po 4 i 5 mórg przy wpłacie $^1/_3$ ceny kupna.

11. Place budowlane w Szamotułach po 5, 4, 3 i 2 morgi przy wpłacie $^1/_3$ ceny kupna.

12. Dom nowy murowany i $3^1/_2$ morgi ogrodu w Ostrowie pod Strzelnem przy wpłacie 3000 mk.

13. Domy trzy w Stęszewie z zabudowaniami gospod. i 57 mórg dobrej ziemi w całości lub w parcelach z inwentarzem i pełnem żniwem, przy wpłacie $^1/_3$ ceny kupna.

14. Gospodarstwo z trzema domami i podwórzami 126 mórg w Bronisławiu pod Strzelnem, razem lub w częściach przy wpłacie $^1/_3$ ceny kupna.

Adres: 582

Bank Parcelacyjny

Posen, Victoriastrasse Nr. 12.

Folwark 310 mg. pod Wronkami (z młynem) z wyśmienitą komunikacyą, incl. 20 mórg pysznych łąk, 60 mórg ładnego lasu *z młynem wodnym, urządzonym także do pędzenia parą, przynoszącym rocznie 7000 mk. stałego dochodu,* budynki murowane pod dachówką i papą w dobrym stanie, *wygodny i obszerny dom mieszkalny z werandą i balkonem, w pięknym ogrodzie,* niedaleko ładna oficyna dla służby i t. d., inwentarz 7 koni, 14 krów, 15 sztuk bydła młodocianego, około 30 sztuk świń i tuczników, położenie śliczne, okolica bardzo dobra, przy zaliczce 35 tys. m. za 87 tys. mk.

Oferty do ekspedycyi „Pracy" pod nr. 2091.

Folwark 550 mórg w pobliżu Poznania, od stacyi koleji 4 klm., ziemia dobra, zdrowa jęczmienna, 10 mg. pysznych łąk, kawał ładnego lasku, budynki murowane pod papą w porządku, dwór murowany pod papą wygodny o 7 pokojach, kuchni etc. w pięknym ogrodzie; inwentarz 12 dobrych koni roboczych, 1 stadnik, 13 krów, 5 cielnych jałowic, 10 szt. młodocianego, ca. 20 szt. świń itd. Żniwa zapowiadają się świetnie, przy zaliczce 30 tys. mk. za 110 tys. mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod *Nr. 2235.*

Folwark 500 mg. w okolicy Chodzieża, incl. ca. 70 mórg łąk z niewyczerpanym pokładem torfu, ziemia dobra jęczmienna i żytnia w kulturze, budynki gospodarcze murowane pod twardemi dachami w porządku, dwór pański, murowany, na suterenach o 10 obszernych pokojach, kuchni etc. w pięknym parku z widokiem na wielkie jezioro. Wysiew: 150 mórg żyta, 20 mórg jęczmienia, 80 mórg koniczyny, 40 mórg owsa, 70 mg. kartofli itd. Żniwo rokuje obfity plon; inwentarz: 9 koni, 1 stadnik, 23 krowy, 20 sztuk bydła młodocianego itd. przy zaliczce 30 tys. mk. nader korzystnie do nabycia, ponieważ dziedzic nie jest rolnikiem i mieszka w innej prowincyi a folwark ten odebrał tylko w spadku.

Oferty do eksp. „Pracy" pod Nr. 2104.

Gościniec

z 30 morgami dobrej roli we wielkiej wsi gospodarskiej, jedyny w miejscu, przy zaliczce 12—14 tysięcy marek dla zmiany stosunków zaraz do sprzedania. Najbliższe miasto przeszło $1^1/_2$ mili. Oferty przyjmuje ekspedycya „Pracy" pod lit. W. A. 2.

☞ *Kto ma szczery zamiar*

kamienicę

korzystnie kupić lub sprzedać, ten niech się z całem zaufaniem zgłosi do

Drwęskiego & Langnera,

Domu Bankowo-Komisowego

Ul. Rycerska 38. ***w Poznaniu*** *Telefon 1246.*

Specyalny wydział

dla kupna i sprzedaży kamienic, wil, placów budowlanych i t. d.

Pośrednictwo sumienne i dyskretne.

Na mocy zlecenia wprost, poszukujemy dla rodaka, znanego obywatela, tu w Księstwie kupna

majątku

z przyzwoitym domem, dobremi budynkami, z gorzelnią i nieco lasu, choćby średniego, przy zaliczce 300,000 marek.

Drwęski & Langner
w Poznaniu.

Kupno okolicznościowe.

Z powodu choroby właściciela jest korzystnie do nabycia w jednem z większych fabrycznem mieście (ca. 5000 mieszkańców) tu w Księstwie posiadłość w bardzo korzystnem położeniu, składająca się z pięknej, nowej, dwupiętrowej kamienicy, obszernego podwórza z zajazdem, stajniami etc., ślicznego, dużego ogrodu dla publiczności. W kamienicy jest pierwszorzędny hotel, restauracya, winiarnia, handel korzenny destylacya — przytem jeszcze skład węgli, wapna, artykułów budowlanych i t. d.

Cena za posiadłość 85,000 mk., towary oblicza się podług faktury, **do objęcia potrzeba 50 tys. marek.**

Oferty pod lit. **G.** 200 do eksped. „Pracy," Poznań, ul. Rycerska 38.

Folwarczek w okolicy Gniezna
tylko 1 klm. od stacyi kolejowej, ca. 136 mórg incl. 15 mórg dobrej łąki z pokładem torfu, troszeczkę ładnego lasu, **ziemia dobra jęczmienna w kulturze,** bardzo dobrze obsiana, budynki wystarczające i w porządku, inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 12,000 m.*** za 31,500 mk.
Oferty do ekspedycyi „Pracy" pod nr. **2354.**

Folwark 720 mórg w okolicy Znina,
od miasta tylko ½ mili, zdrowa żytnia ziemia i bardzo urodzajna, **20 mórg pięknych łąk,** 270 mórg jeziora bardzo rybnego, **budynki nowe, dom mieszkalny murowany** o 6 pokojach, kuchni itd., inwentarz kompletny przy zaliczce 45,000 mk. pod bardzo korzystnemi warunkami.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" Nr. 2238.

Folwark 200 mórg tuż pod Poznaniem,
ziemia dobra, zdrowa żytnia, w wysokiej kulturze; budynki murowane, w dobrym stanie, dom mieszkalny obszerny i wygodny, inwentarz 8 koni i 80 krów, mleko odstawia się do sklepów do Poznania, ***przy zaliczce 25,000 mk.*** za 76,000 mk.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" ***Nr. 2252.***

Folwark 370 mg. incl. 16 mg. dobrych łąk i 80 mórg pięknego lasu, *pod Grodziskiem,* od szosy tylko 1 klm., *ziemia jęczmienna w kulturze,* budynki kompletne i w porządku, *dwór na suterenach murowany obszerny i wygodny w pięknym ogrodzie;* inwentarz kompletny, *przy zaliczce 30 tys. mk. za 88 tys. mk.*
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod Nr. 2180.

Folwark

800 mg., incl. 60 mg. pysznych łąk, w okolicy Wrześni, stacya kolei i szosa w miejscu; ziemia od skiby do skiby pszenna i buraczanna w bajecznej kulturze. Wysiew 280 mg. oziminy, 100 mg. jęczmienia, ***40 mg. buraków cukrowych,*** 20 mórg lucerny, 200 mórg kartofli i t. d., budynki przeważnie murowane, obszerne i w porządku, ***wygodny dom mieszkalny o 9-ciu pokojach, kuchni etc. w ślicznym ogrodzie,*** inwentarz 8 koni robocz. 31 wołów rob. ca. 80 szt. bydła incl. krów dojnych, 300 owiec, parowa młockarnia itd., ***wszystko w najlepszym porządku.*** Taksa landszaftowa z roku 1888 176,400, ***przy zaliczce 60 tys. mk.*** za 330 mk. morga. ***Majątek ten jest od 50 lat w obecnych rękach niemieckich i jedynie dla śmierci właściciela na sprzedaż.***

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Wieś
rycerska

840 mórg, incl. 60 mg. dobrych łąk i 15 mórg pięknego lasu, ***w okolicy Rogoźna, od przystanku kolei tylko 2 klm., ziemia dobra jęczmienna bardzo dobrze obsiana w wysokiej kulturze,*** — budynki nadkompletne, murowane pod twardemi dachami w porządku; ***wygodny i obszerny dwór pański na suterenach w wielkim, cienistym parku.*** Całość robi wrażenie pańskiej siedziby. Inwentarz kompletny i bardzo dobry; urodzaje znakomite; gospodarstwo dość zasobne, ***przy zaliczce 60,000 mrk., za 200 marek morgę.***

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Folwark ca. 100 mg. w okolicy Kostrzyna
ziemia przeważnie pszenna w dobrej kulturze, dom mieszkalny o 8 izbach. **kuchni** etc., obora murowana, welbowana na żelazie, **wielka stodoła** o 2 bojowiskach **wszystkie budynki w porządku,** inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 18,000 m.*** za 45,000 mk. **Kolejka w miejscu.** Oferty do eksp. „Pracy" pod nr. **2344.**

Folwark 220 mg. pod Starogardem, Pr. Zach., ziemia od skiby do skiby pszenna i buraczana budynki obszerne w dobrym stanie. ***Dwór w stylu pałacykowym o 12 pokojach w pięknym cienistym parku,*** gospodarstwo zasobne, ***przy zaliczce 50,000 marek*** za 240,000 marek.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod ***Nr. 2364.***

Folwark 250 mórg — lecz z własnem polowaniem — pod Krotoszynem,
z gimnazyum, wyższą szkołą żeńską, garnizonem i t. d., ***ziemia pszenna w bajecznej kulturze,*** 15 mg. pysznych łąk, budynki murowane pod dachówką, **cegielnia produkująca rocznie przeszło pół miliona; dworek zupełnie nowy, pański, bardzo ładny i obszerny, w pięknym** ogrodzie, ***przy zaliczce 75,000 m.*** za 150,000 mk.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. **[illegible]60.**

Folwark 500 mórg pod Koźminem, wszystko pszenna ziemia I kl., ładny i wygodny dworek, budynki obszerne i w porządku, inwentarz kompletny i mocny, ***Grundsteuerreinertrag ca. 3 mk. z morgi,*** przy zaliczce 60,000 mk. po 850 mk. za morgę.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. ***2282.***

Folwark 460 mg. w okolicy Krotoszyna,
ziemia pszenna I kl. wydrenowana i wymarglowana w wysokiej kulturze, budynki obszerne i w porządku, dom mieszkalny wygodny w ładnym ogrodzie, 12 koni, 50 sztuk bydła rasowego, 80 świń. Żniwa zapowiadają się świetnie. **Przy zaliczce 40,000 mk.** za 130,000 mk.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod Nr. 2244.

Folwark 200 mórg pod Trzemesznem, ziemia do połowy pszenna i buraczanna, reszta dobra, zdrowa, jęczmienna, 10 mórg pysznych łąk, budynki murowane pod dachówką, dom mieszkalny o 6 pokojach, wygodny, w pięknym ogrodzie, inwentarze kompletne, ***przy zaliczce 25,000 marek za 65,000 mk.***
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. ***2288.***

Folwarczek 240 mrg. tuż przy Rogoźnie z gimnazyum, ***dobrej pszennej i buraczannej ziemi i ślicznemi łąkami, obszernemi murowanemi budynkami, wygodnym domem mieszkalnym o 6 pokojach,*** inwentarz 6 koni, 30 sztuk bydła, znaczna trzoda świń i t. d. ***przy zaliczce 15,000 mk*** za 70,000 mk. Wysiew 25 mg. pszenicy, 50 mg. żyta, 40 mg. jęczmienia, 50 mg. kartofli i t. d.
Oferty up. do Eksp. „Pracy" **Nr, 2300.**

Folwark ***330 mórg, pod Gnieznem,*** ziemia zdrowa i urodzajna żytnia, 36 mg. łąk z pokładem torfu, budynki w porządku, dom mieszkalny o 6 pokojach, 4 klmtr. od dworca, inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 12,000 mk.*** za 48,000 Mk.
Oferty upr. do Eksp. „Pracy" pod ***2324.***

Folwark ***670 mg. pod Szubinem, ziemia pszenna I kl., 100 mg. pysznych łąk, 40 mg. niewyczerpanych pokładów bardzo dobrego torfu Obszerny dwór pański, w ładnym parku,*** budynki bardzo dobre i kompletne, 15 koni i 60 szt. bydła, od miasta tylko 4 klmtr., ***przy zaliczce 60,000 mk.*** za 200,000 mk.
Oferty upr. do Eksp. „Pracy" ***No 2322.***

Wila

na przedmieściu Poznania, z pięknym ogródkiem, o 11 pokojach, z wszelkiemi ubikacyami, z powodu wyprowadzenia się właściciela **zaraz** pod dogodnemi warunkami do sprzedania.

Oferty przyjmuje eksped. „Pracy" pod lit. **X. P. 3.**

Feliks Suppert

Poznań,
ulica Wroniecka nr. 91.

Specyalny skład mąki
i towarów spożywczych

poleca 572

pp. piekarzom i interesowanym
swój pierwszy polski
hurtowny

skład młodzi.

Hurtownie! Detalicznie!

Farby, pokosty, lakiery,

froter, masę woskową do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów etc., jako też potrzebne szczotki i pendzle do tychże. Carbolineum koloru orzechow. Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach hurtownie i detalicznie 738

Centralna Drogerya
J. Czepczyński,
...ań, Stary Rynek



Telefon nr. 238.

Wyroby
gnieźnieńskiej fabryki cygar

cieszą się u każdego znawcy dobrem uznaniem i zdobyły sobie dużo *stałych* zwolenników.

Na próbę polecam fr. pod zaliczką paczkę pocztową zaw.: 100 cygar za mk. 2.40, 2.60, 3.—, 3.40 i 3.60, razem 500 szt. za m.k 15,—; lub: 100 za mk. 2.50, 2.80, 3.20, 3.50 i 4.—, razem 500 szt. za mk. 16.- ; albo też: 100 za 4.20, 4.70, 5.—, 6.—, 7.—, razem 500 szt. za mk. 26.90. Przy zamów. proszę podać czy się życzy mały, średni lub duży format i czy mierne, średnie lub lekkie. 507

P. Urbanowski
FABRYKA CYGAR, GNIEZNO.

Za dobry towar dużo uznań piśmiennych.

Nuty
do 110 pieśni polskich do śpiewu i na fortepian, 300 przeszło pieśni do muzyki

razem 2 zeszyty o 318 stron. zebrał Fr. Parański.

Piękny ten śpiewnik z ładna kolorową okładką kosztuje tylko mk. 3,75, z przesełką mk. 4,25, w oprawie kartonowej mk. 4,25, z przesełką mk. 4,75. 386

Nabyć można w każdej polskiej księgarni w Poznaniu.

Fortepiany i harmonia

najnowszego systemu, nowe i używane, poleca tanio jedyny **polski** magazyn fortepianów pod zaborem pruskim.

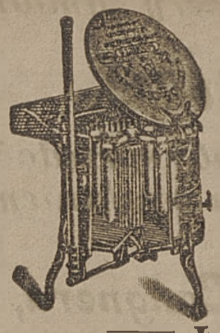
A. Drygas,
Poznań, ulica Rycerska 33.
(Narożnik św. Marcina.)

Meinel & Herold
Harmonikafabrik
Klingenthal (Sachsen) Nr.



versend. pr. Nachn anerkannt solid. Concert-Zug-Harmonikas ca. 34 cm hoch, mit prächtigem Orgelton, offener Klaviatur verdeck. Stahlfederung, 3thl., (11 fl.) Doppelbalg m. best Metallschutzecken (Eckenschon.) Doppelbässer 10 Tast., 2 chör. 2 Reg., 50 Stim. M. 5.—
10 „ 3 „ 3 „ 70 „ „ 7.5
10 „ 4 „ 4 „ 90 „ „ 9.5
21 „ 2 mal 2 chör., 108 „ „ 11.—
Schule, Kiste umf. Port. extr. And. Harm. (85 versch. Nr.) bill. Illustr. Catalog frei. Wir bitten dringend, unsere Harmonikas nicht mit billiger offerirt. zu verwechseln. Garantie: Zurücknahme u. Geld retour. Ueber 3000 Dankschreiben.

Pokój
mebl. z stołem lub nie, od zaraz do wynajęcia **ul. Teatralna No. 2. III p.**



Maszyny
do prania bardzo praktyczne całe dębowe, niezbędne w każdem gospodarstwie z powodu znacznej oszczędności czasu i bielizny po Marek 55,00 za szt.

Wyżdżymalnie
maglownie, ramy do suszenia firan. Nowość! żelazka gazowe do okowity denaturowanej, po m. 8 za sztukę.

Łóżka
dla dorosłych i dzieci, żelazne, wyściełane angielskie całe mosiężne poleca 807

T. OTMIANOWSKI.
właściciele:
B. Ziętkiewicz — S. Mincikiewicz.
Poznań — Bazar — Telefon nr. 565.
Cenniki darmo i franko.

„Italia“
pierwsza poznańska fabryka
makaronów włoskich
podaje do wiadomości Szanownej Publiczności, że otworzyła

przy ul. Szkolnej 15

w narożnej kamienicy ulic Nowej i Szkolnej — wchód z ulicy Szkolnej

Skład hurtowny i detaliczny
i poleca się względom odbiorców. 743
August Tucholka. właściciel fabryki.

Dobre mydło
kupuje się w fabryce 42

St. Żychlińskiego w Gnieźnie.

Piegi usuwa i konserwuje płeć
hygieniczne mydełko lanolinowe.
Swiece kościelne każdej wielkości.



Premiow. w Krakowie 1900 na wystawie Przyrodniczo-lekarskiej.



J. Silski,
mistrz stolarski,
Poznań, ulica Wrocławska nr. 31
poleca swój
magazyn mebli

zaloż. w r. 1889, zaopatrzony *w meble własnego wyrobu,* znanej dobroci.

Kompletne wyprawy, osobne urządzenia pokojowe po nader niskich cenach i rzetelnej usłudze. Dogodna spłata ratami. 210

Rutynowany kupiec
bławatnik, z kapitałem, pragnie wstąpić jako 563

wspólnik

do takiegoż interesu lub innego przedsiębiorstwa.
Oferty upraszam do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **W. S. nr. 563.**

Fabryka smoły i papy (tektury) na dachy
M. Fieka nast. Max Staack
Eberswalde, dworzec (Bahnhof)
poleca najnowszy wynalazek patent., by dach wody nie przepuszczał i na wszelką zmianę powietrza 10—15 lat bez żadnej reparacyi utrzymać. 584

Najtańsze i trwałe pokrycie na dachy.

Wybredny krezus.

— Garson, co można dostać na przekąskę po wódce?

— Może sielawy, albo sardynki?

— Głupiś, ja uśniętych ryb nie jadam, mnie stać na żywe!...

— Mój kochany, czy nie mógłbyś mi pożyczyć dziesięciu marek na tydzień?
— Nie mogę mam tylko pięć.
— W takim razie pożycz mi pięć marek na dwa tygodnie.

Nowy Browar w Grodzisku

zaopatrzył się obecnie

w większe kwantum piwa grodziskiego

i dla tego prosimy o zamówienia ad manus naszego członka 598

p. Konstantego Styczyńskiego

w Grodzisku (Graetz i. P.)

Udziały nabywać można jeszcze

w Banku Parcelacyjnym

ulica Wiktoryi nr. 12.

P. P. Księgarzom i Organistom oddajemy po hurtownych cenach

BACZNOŚĆ! BACZNOŚĆ!

Książki do nabożeństwa!

Chrzanowski & Kucner,

księgarnia i skład materyałów piśmiennych

poleca i wysyła na żądanie odwrotną pocztą następujące książki do nabożeństwa:

Anioł Stróż, książka do nabożeństwa w pięknej oprawie, w skórę cena 1,50 mk., z okuciem i zamkiem 2 mk.

Bóg z Tobą, czyli módl się i pracuj, mała książeczka do nabożeństwa. Cena 30 fen. w ozdobniejszej oprawie 40 fen.

Dunin, książka do nabożeństwa w dobrej oprawie, cena 2,25 mk., w skórę, brzeg złoty, 3 mk. (najnowsze wydanie z polecenia X. Arcybiskupa Stablewskiego).

Głos serca, książka do nabożeństwa dla osób, które mają słaby wzrok, bardzo duże litery, w oprawie pięknej cena 1,75 mk., z okuciem i zamkiem 2 mk.

Ołtarzyk rzymsko-katolicki w modłach i pieśniach na cześć Bogu i Najśw. Maryi w pięknej oprawie, cena 2,25 mk., z okuciem i zamkiem 2,75 mk.

Perły nabożeństwa czyli książka do nabożeństwa ku czci Najśw. Maryi Nieust. Pomocy, oprawna w skórę z okuciem i zamkiem 2,25 mk., w oprawie w skórkę miękką watowaną 2,50 mk.

Wianek Maryi, książka do nabożeństwa ku czci Najśw. Maryi Panny w oprawie pięknej w skórę 2,25 mk., z okuciem i zameczkiem 2,75 mk. 567

Każdą książkę powyższą wysełamy na życzenie odwrotną pocztą i prosimy adresować

Chrzanowski & Kucner, Poznań (Posen).

Główne zastępstwo G. Jałkowskiego w Grudziądzu.

Pocztówki polskie z widokami!

Jedyny polsko-katolicki interes

TANIO! w Rawiczu. TANIO!

Skład gotowych obrazów, luster, figur Świętych Pańskich, krzyży, lichtarzy, książek do nabożeństwa i t. d.

Oprawę obrazów

uskutecznia się gustownie, szybko i tanio!

„Globus“

J. Mrówczyński

ul. Ludwiki, 560

naprzeciw apteki pod Lwem.

Wszelkie materyały piśmienne!

Rzemieślnik samodzielny, kawaler, liczący 28 lat, na obczyźnie, posiadający cokolwiek gotówki, szuka dla braku znajomości pań

żoneczki.

Panienki w wieku 20—26 lat, z spokojnej familii, raczą z całem zaufaniem swe oferty złożyć w ekspedycyi „Pracy“ pod lit. W. V. **nr. 593.** Dyskrecya pod słowem honoru.

Czołem!

Walne zebranie Tow. gimnastycznego **Sokół w Nakle** odbędzie się w niedzielę dnia 24-go b. m. w lokalu druha J. Biniakowskiego o godzinie 8-ej wiecz. Na porządku obrad wybór nowego zarządu, zmiana ustaw oraz inne ważne sprawy. Pożądany jaknajliczniejszy udział członków. Również goście mile widziani. Wydział.

WAWRZYNA

Zajmująca powieść z czasów *Leszka Białego.* Cena 1,25 mk

Jak pisać listy?

czyli

Nowy sekretarz polski.

Pożyteczna ta książka podaje wzory na listy z prośbami, powinszowaniami, listy miłosne, z dziedziny handlu i przemysłu itp. z dodatkiem: listów najznakomitszych pisarzów, jak: Mickiewicza i Sienkiewicza. Cena za egzempl. 1,60 mk. za egzempl. oprawny 2 mk. Za opł. poczty 20 fen.

K. Kozłowski,

Poznań (Posen)

ulica Długa nr. 8. 579

Na zegarki, pierścionki i biżuteryą wysyłam 509

katalogi

darmo

J. Strzelecki

Mogilno.

(Filia w Inowrocławiu.)

Gdzie

może się dobry zegarmistrz (Polak) osiedlić, lub zaprowadzony interes kupić, mając pewność dobrej egzystencyi? Łaskawe oferty upr. pod S. B. 120 **Hauptpostlagernd Posen.** 601

Posady

dla bon

i

wychowawczyń

z doskonałym niemieckim. Pensya 260—310 marek. Wiadomość:

Karpińska,

Warszawa, Szpitalna 3.

Pewna egzystencya!

Z powodu stosunków familijnych jest w większem mieście powiatowem w bliskości rynku dobrze zaprowadzony

handel mąki

i krupów

z dobrą klientelą zaraz lub od 1 października r. b. do sprzedania. 568

Zgłoszenia do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **L. E. 100.**

Kompletne urządzenie dla 600

restauracyi

ma bardzo **tanio** do sprzedania

J. Ostrowski

Poznań, Blüchera ulica 13.

Kamienica

masyw

3 piętrowa w górnej części miasta dobrze się procentująca zaraz do sprzedania.

Bliższych objaśnień udzieli eksp. „Pracy“ pod lit. **A. W. 4.**

Kamienica

na Jeżycach, blizko rynku o 3 piętrach, przynosząca 8°/₀ z powodu choroby właściciela zaraz do sprzedania.

Pomieszkania tylko lepsze i z wszelkiemi wygodami. Reflektantom udzieli bliższych wiadomości ekspedycya „Pracy p. l. *O. R. 5.*

Place

budowlane

na przedmieściu Poznania, ca. 20 mórg, z powodu działów familijnych (ca. 700 □ metrów) przy małej zaliczce zaraz do sprzedania.

Bliższych wiadomości udzieli ekspied. „Pracy“ **sub. G. 33.**

Piekarnia

w dobrym biegu z kompletnem urządzeniem jest od 1 października b. r. do wydzierżawienia. Zapytać ***Poznań, Półwiejska ul. 36.*** 599

Ucznia

z dobrego domu przyjmie zaraz 570

W. M. Przezborski

handel żelaza, artykułów budowlanych i towarów kolonialnych

Poniec — (Punitz).

Nowe 594

uczennice

za poprzedniem zameldowaniem przyjmuje

zakład pracy domowej

w Śremie (Schrimm)

dnia 24 października b. r.

Szczerbińska

przełożona.

Ucznia

z dobremi wiadomościami szkólnemi, przyjmie do handlu kolon., łakoci, win i cygar 573

H. Błaszczyński

Sieraków (Zirke).

Pomocnika

i

ucznia

przyjmie od 1 Października b. r. 580

Handel kolonialny, destylacya

St. Witaszek

Śmigiel — (Schmiegel).

Poszukuje się zaraz lub od 1 września 597

ucznia.

Łaskawe of. uprasza

Mleczarnia

Kazmierzewo

p. Exin.

Chłopca lub dziewczę

z lepszej rodziny do posługi poszukuje zaraz 601

S. HOFFMANN,

Bazar.

Ucznia

syna porządnych rodziców z lepszem wykształceniem szkólnem przyjmie zaraz 592

J. Grochowski,

drogerya w Jarocinie.

Pomocnik

handlowy

25 lat liczący, obecnie w miejscu, wsparty na dobrych świadectwach i referencyach szuka od 1-go października 02. miejsca w destylacyi, gdzieby się podróżami zająć mógł lub w kolonialnym interesie.

Zgłoszenia do eksp. „Pracy“ p. l. **Ch. Nr. 591.** 591